POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 28-go marca 1942r.* **Rok IV. Nr. 13**

RZECZYWISTA JEDNOŚĆ

Nieraz wraca na tych stronicach słowo: jedność. Jedność polska i żołnierska. Jedność woli i jedność walki. Dla piszącego te zdania, jak napewno dla pisma, które je drukuje, to słowo nie jest czczym i pustym dźwiękiem.

My żołnierze rozumiemy dobrze potrzebę różnic, napięć przeciwnych, ścierających się dążeń—rozumiemy, że bez tego nie ma pełnego życia, nie ma życia w ogóle. Ale rozumiemy także—potrzebę jedności. Jest ona takim samym nakazem życia, jak ścieranie się przeciwieństw. Zawsze przeciwieństwa rozwiązują się w jedności. W społeczeństwach demokratycznych jest to dobrowolne podporządkowanie się mniejszości postanowieniom większości. W ustrojach totalnych jest to po prostu fizyczne i moralne ujarzmienie większości przez mniejszość.

Ale jedność społecznej woli jest nakazem nieodpartym, zwłaszcza w chwilach zagrożenia, już nie mniejszej, lub większej pełni życia, ale samej istoty, samej możliwości tego życia. W takich chwilach—w chwilach walki o istnienie zbiorowe—wojsko stanowi wyraz tej jedności.

W czasie pokoju może ono być, słusznie czy niesłusznie, uważane za "zawód," za "specjalizację," można na nie patrzeć z punktu widzenia malowniczości stosownie do piosenki o "chłopcach malowanych" lub z punktu widzenia t.zw. sezonu." W czasie wojny wojsko jest wartością moralną i wartością polityczną. Jest, winno być, wzorem, przykładem i nakazem jedności. To jest obok walki zasadnicze zadanie wojska. I na odwrót; jest to także warunek walki. Tylko wojsko wewnętrznie zjednoczone, zwarte może ją podjąć, może ją zwycięsko przeprowadzić.

Nasza zbiorowość żołnierska dała nie raz dowód, że instynktem, sercem pojmuje jasno tę jedność. W sprawie pomocy dla Polaków w Rosji wojsko wyprzedziło emigrację cywilną i ofiarnością i serdeczną skwapliwością; urzędy dopiero niedawno zdobyły się na bardzo skromne opodatkowanie.

Tego stanu rzeczy nie zmieni fakt, że ofiarność wojska znalazła już swego pomniejszyciela w p. Mackiewiczu. Jest wiadome, że p. Mackiewicz, nie sprawując żadnych funkcji pobierał od września ubiegłego roku uposażenie członka Rady Narodowej, bądź co bądź pół ministerialne, ale dopiero w marcu bieżącego roku, przyparty, nawiasem mówiąc, przez p. A. Kujawskiego na tych łamach, przypomniał sobie o istnieniu nieszczęśliwców w Rosji i zaofiarował na nich dochód ostatniej broszury. Dla uwypuklenia tego wspaniałego gestu p. Mackiewicz uznał za potrzebne zredukować do czterystu funtów dotychczasowy efekt zbiórki, która w samym I Korpusie dała £8.000 /słownie: osiem tysięcy funtów szterlingów/, w "Polsce Walczącej" przekroczyła £800, w "Dzienniku Polskim" £500, a nawet w "Wiadomościach Polskich" sięga ponad £20 . . .

To, jak p. Mackiewicz rachuje, nie zniechęci nas do dalszego prowadzenia akcji zbiórkowej. Nie byłoby w ogóle warto zajmować się tą "nieznajomością" istotnego stanu rzeczy, gdyby nie stanowiła ona odprysku akcji szerszej. Jesteśmy świadkami, że od pewnego czasu usiłuje się sztucznie a usilnie wytworzyć dwie "orientacje." Z górą rok temu doświadczony polityk i znakomity publicysta Adam Pragier napisał, że w przeciwieństwie do wojny poprzedniej, w czasie której ścierały się w społeczeństwie polskim sprzeczne orientacje, w obecnej wojnie Polacy mogą mieć i mają tylko jedną orientację—polską.

Wbrew temu pewne pisma drukują wyłącznie/, lub prawie wyłącznie głosy angielskie nieprzychylne interesom Polski. A przecież obok tego, co pisze "*Times*" /pismo mimo całej swej powagi nieoficjalne/ i mówi /na swój osobisty rachunek/ p. Cripps—opinia angielska wypowiada się także, w sposób, zasadniczo tym głosom przeciwny w takich pismach, jak: "*The Spectator*," "*The Catholic Herald*," "*The Weekly Review*," "*The Catholic Times*." Jest równie niedorzeczne zasypiać w przekonaniu, że wszystko tu w Anglii idzie już po naszej myśli /do tego jest daleko/, jak niepokoić, podniecać i rozbijać opinię polską tylko wydobywaniem cieni.

Wbrew interesowi polskiemu ludzie odbici od społeczności, dezerterzy z szeregów usiłują wyjaskrawiać różnice, gdy trzeba by wzmacniać łączące nas więzi. Uparcie usiłują stwarzać wrażenie, iż istnieje rozbieżność z rządem i między jedną częścią opinii i drugą. A takiej rozbieżności nie ma i być nie może. Nie ma i nie może być dwu opinii, dwu orientacji, dwu rachub. Jeśli ktoś je chce koniecznie zmyśleć, wmówić, jak zdrowemu chorobę, musimy podejrzewać, że ma w tym jakąś swoją rachubę, że jest to jakaś opinia zbyt osobista, urażona i zadrażniona, że jest to orientacja—na siebie. To nas żołnierzy nic, a nic nie obchodzi. To nie obchodzi lotnika, który leci tej nocy nad Essen lub Kilonię, to nic nie obchodzi marynarza, któremu oczy zachodzą łzami od wypatrywania przez cztery godziny, po czterech godzinach snu—we mgle na Atlantyku.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi żąda się ujawniania dokumentów dyplomatycznych, czy rozmów będących w toku, domaga się "całej prawdy," gdy ta prawda, jedyna istotna prawda i siła jest w nas, jest w jedności opinii i jedności żywej, dynamicznej woli. Tę prawdę ujawniać, tę siłę natężać, jest naszym najważniejszym i niemal jedynym zadaniem.

Wbrew przyzwoitości lubi się od pewnego czasu kłuć nas żołnierzy w oczy wypominaniem: wy jesteście "zależni," a my "niezależni." Co tu dużo gadać. Każdy z nas jest zależny od własnego sumienia i od biegu tej straszliwej wojny. Od tej wojny zawisło życie każdego z nas i niejedno życie nas "zależnych," nas żołnierzy pada w ofierze od dwu lat każdej nocy i każdego dnia. Ale oto mniejsza. Od tej wojny zależy także los polskości na całe stulecia, może na zawsze.

Wbrew całej podejrzliwości i nieufności—trzeba i o nas samych prawdę powiedzieć—trudno nam przychodzi osądzenie, że są poglądy i postawy, które świadomie lub bezwiednie służą sprawie wroga, nie sprawie własnej. A osądzić i potępić co nas osłabia, co nas rozbija, jest takim samym nakazem, jak rzucać bomby i strzelać z "pom-pomów."

W ostatnich czasach szczególnie sprawa stosunku do Sowietów dawała pole do tych wszystkich praktyk i stanowiła pokusę dla tych wszystkich słabości. Ale w tej sprawie nie tkwią i nie mogą tkwić powody do istotnego rozdziału. Cokolwiek by kto myślał o układzie polsko-rosyjskim jest faktem, że u jego podstawy była chęć ulżenia doli blisko dwu-milionowej masy wysiedleńców i dobra wola sojusznicza wobec Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Nie było w nim i niema rezygnacji z czegokolwiek.

Od lipca przeszłego roku nasze cele wojenne nie zmieniły się ani o jotę, ani o źdźbło. I nie zmienią się. Walczymy o Polskę naszej niepodległości—to jest postulat minimalny. O Polskę z Warszawą i Gdynią, Poznaniem i Wilnem, z Krakowem i Gdańskiem, Lwowem i Katowicami. O Polskę nieokrążoną strategicznie z jakiejkolwiek strony. Mamy żywotne żądania wobec niemieckiego grabieżcy, ale ich nie zgłaszamy przed forum sojuszniczym, bo nie jest na to pora i uważamy, że nikt tego robić nie powinien. Nie weźmiemy udziału w postanowieniach,dotyczących wolności innych narodów wbrew ich woli i nie dopuścimy, aby wbrew naszej woli cokolwiek stanowiono o naszej wolności. Żywimy w duszy naszej tęsknoty do poprawy porządku w ojczyźnie, wróconej do życia, ale nie pozwolimy, aby nam ktokolwiek narzucał się ze swoim porządkiem, jego własnym i dobrym dla niego.

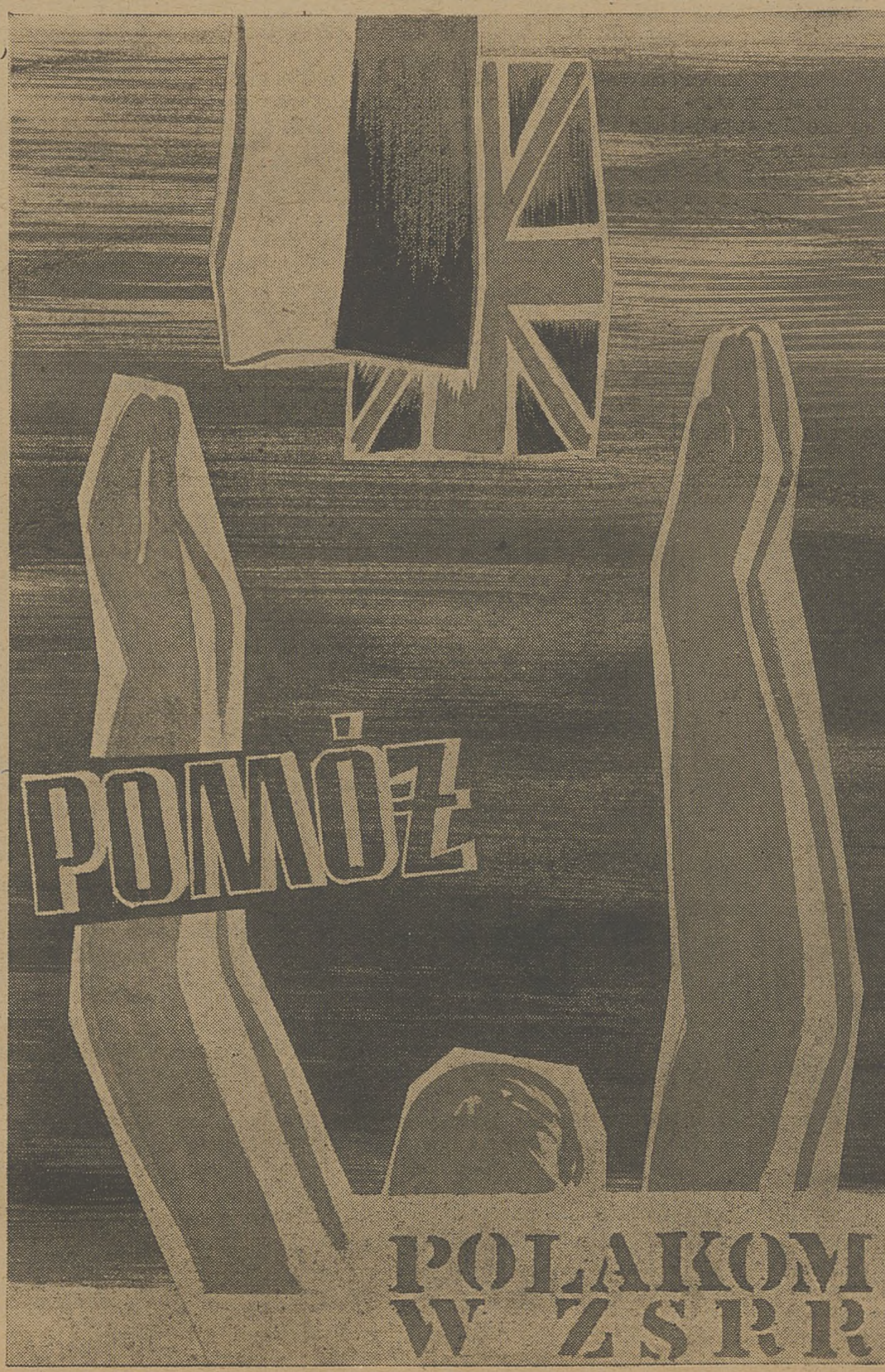
Takie jest stanowisko opinii żołnierskiej. I takie—jesteśmy tego najgłębiej pewni—stanowisko rządu. Takie stanowisko jest formułowane z całą stanowczością gdzie trzeba po tej i tamtej stronie oceanu. Takie stanowisko będzie tym silniejsze, im silniej będzie poparte przez całą zjednoczoną zbiorowość polską.

Nie mamy prawa, my żołnierze, kogokolwiek pouczać. Ale wolno nam, jak w tej prostej i ludzkiej sprawie pomocy dla Polaków w Rosji, stanowić przykład i wzór jedności. Wobec prób rozbijania opinii bez rzeczowych powodów, z nieczystych czy nawet czystych natchnień musimy zachować odpór bezwzględny. Sprawa naszego kraju,naszych bliskich, dręczonych przez zbirów niemieckich, rozproszonych daleko od domu, głodnych i marznących, sprawa naszych granic, naszej roli w świecie—będzie nas jeszcze nie raz jeden napełniała niepokojem i najgłębszą troską, nim dojdzie do rozwiązania, które Bóg trzyma w swoich dłoniach. Musimy zachować spokój i równowagę. Musimy zachować jedność, nienaruszoną zwartość, niezachwianą wolę.

Ta oto jedność—jedność w tym, co jest niewątpliwe i bezwarunkowo wspólne, jedność rzeczywista—tylko ona czyni z nas: z siły zbrojnej kraju, walczącego najofiarniej o prawo do istnienia—wartość moralną i wartość polityczną.

ALEKSANDER JANOWSKI

Rys. Jan Poliński



"Commandos": tradycje i możliwości

Kilka tygodni temu cały świat został zelektryzowany wiadomościami o śmiałych raidach kombinowanych sił brytyjskich na Lofoty i wyspę Vaagso. Te niezwykle skomplikowane i ciekawe z punktu widzenia strategii operacje, należy przyjmować nie tylko jako dowód siły Wielkiej Brytanii ale przede wszystkim jako dowód jej ducha bojowego. Czem zaś jest taktyka ofensywy w walce, widzimy najlepiej na losach obecnej wojny.

Jakkolwiek raidy wspomniane nie przyniosły w efekcie specjalnych zdobyczy, ani nie osłabiły potężnej jeszcze machiny wojennej Hitlera, to jednak znaczenie ich w obecnym okresie wojny jest bardzo poważne, bo uderzenia zadane zostały w miejsca czułe, niespodzianie, szarpiąc nerwy żołnierza i dowództwa niemieckiego, którego morał jest obecnie poważnie podważane niepowodzeniami na froncie sowieckim. Poza tym operacje te stanowią doskonałą zaprawę dla dalszych wyczynów tego rodzaju. Wykazały one świetną współpracę biorących w nich udział trzech rodzajów broni: marynarki wojennej, lotnictwa i wreszcie specjalnych oddziałów desantowych, t.zw. "*commando*".

Można być pewnym, że te ostatnie raidy są zapowiedzią dalszych i to nawet na większą skalę. Prasa angielska coraz częściej nawołuje do kontynuowania ich. Zresztą nie są one w tradycji brytyjskich sił zbrojnych nowością. Na kartach bogatej historii brytyjskiej Navy spotykamy wyczyn, znacznie przewyższający raid na Lofoty i Vaagso.

Pragniemy tu przypomnieć operację zablokowania Zeebrugge i Ostendy z ubiegłej wojny światowej. Twórcą jej planu i dowódcą całej operacji był admirał Keyes. Ten sam, któremu w czasie obecnej wojny powierzono zorganizowanie oddziałów "commando" i który po odebraniu mu tego zadania w ostry sposób zaatakował w parlamencie brytyjskim niektóre czynniki rządowe.

Zablokowanie Zeebrugge i Ostendy przeprowadzone zostało w nocy z 22-go na 23-go kwietnia 1918 roku.

Cel tego raidu, siły użyte do jego przeprowadzenia, jego przebieg i wyniki, przewyższają wszystkie dotychczasowe podobne operacje i stanowią jeden z najśmielszych wyczynów brytyjskiej marynarki wojennej.

Głównym celem tej operacji było zablokowanie wejść do kanałów portowych Zeebrugge i Ostendy, stanowiących od chwili okupacji Belgii najniebezpieczniejszą bazę niemieckich łodzi podwodnych. Bliskość tych baz pozwalała Niemcom na zadawanie żegludze brytyjskiej ogromnych strat.

Plan jej był w najdrobniejszych szczegółach opracowany. Przygotowania trwały kilka miesięcy. Zadanie było niezwykle trudne. Wybrzeże okupowanej Belgii bronione było przez 56 baterii dział ciężkich, średnich i przeciwlotniczych. Porty Ostendy i Zeebrugge bronione były rozumie się najsilniej. Siły brytyjskie miały poza tym do przezwyciężenia cały system obrony wód przybrzeżnych, na który składały się liczne pola minowe i ciągłe patrole lekkich okrętów wojennych.

Powodzenie operacji zależało od wielu czynników. Jednym z najważniejszych był odpowiedni kierunek wiatru — mianowicie w stronę lądu. Chodziło o to, aby zasłona dymna, którą na początku akcji miały wytworzyć specjalne jednostki floty brytyjskiej—szła w kierunku portów i wybrzeża, uniemożliwiając artylerii niemieckiej celne ostrzeliwanie okrętów brytyjskich, wykonywujących w tym czasie odpowiednie manewry.

Wykonanie planu odraczane było dwukrotnie z powodu nieodpowiednich warunków atmosferycznych.

W nocy 11 kwietnia 1918 roku —flota brytyjska była już o 16 mil od wybrzeża belgijskiego, jednak na skutek nagłej zmiany kierunku wiatru ekspedycja zawróciła. Po powrocie do portu stwierdzono wówczas brak jednej motorówki. Dotychczas nie stwierdzono dlaczego i jak dostała się w ręce Niemców. Strata ta była bardzo poważna, bo na tej motorówce znajdowały się plany zamierzonej blokady Ostendy. Tajemniczy ten wypadek, jak się później okazało, był powodem kompletnego niepowodzenia pierwszej próby zablokowania Ostendy.

W trzy dni później wyprawa wyruszyła po raz drugi, ale znowu powróciła, tym razem z powodu niespodziewanego wzburzenia się morza.

Wreszcie nadszedł odpowiedni moment. W dniu 22 kwietnia— w wigilię dnia św. Jerzego— patrona Anglii, wyruszyły z kilku portów angielskich i francuskich ogółem 74 różnego rodzaju jednostki floty. Część sił brytyjskich podpłynęła pod Zeebrugge. Zasłona dymna została rozpostarta. Kilka monitorów rozpoczęło bombardowanie portu Zeebrugge i niemieckich baterii przybrzeżnych. Krążownik "Vindictive," który z dwoma transportowcami miał za zadanie przybić do mola osłaniającego port Zeebrugge, wysadzić desant dla zlikwidowania znajdujących się na molo oddziałów i baterii niemieckich, krótko przed północą wszedł w zasłonę dymną zbliżając się do mola. Szczególny pech chciał, że w tym momencie powiał niekorzystny wiatr. Obsługi dział niemieckich zauważyły "Vindictive" i otworzyły natychmiast ogień. "Vindictive" ostrzeliwany i sam odpowiadający ogniem przybił do mola. W kilka sekund rzucono pomosty, ponad dwustu specjalnie wyćwiczonych marynarzy zeskoczyło na ląd i wywiązała się zaciekła walka.

Obrona mola była przez Niemców doskonale przygotowana. Schrony wkopane w kamienne molo z gniazdami karabinów maszynowych—otoczone drutem kolczastym broniły licznych dział. Załogę mola stanowiło około tysiąc żołnierzy niemieckich. Walczące z furią oddziały brytyjskie zlikwidowały jednak opór na molo i uciszyły działa niemieckie.

Krążownik "Vindictive" przygotowany był specjalnie do swego zadania. Na pokładzie jego wmontowano ogromny miotacz ognia, który miał ułatwić opanowanie mola. Niestety—zanim "Vindictive" przybił do mola, celne działa niemieckie zniszczyły ten groźny sprzęt bojowy.

Opanowane molo, długie na 2.700 yardów, miało kształt łuku i osłaniało od zachodu i północy wejście do portu Zeebrugge. Z lądem molo połączone było wiaduktem kolejowym.

W międzyczasie, kiedy walka na molo dobiegała końca, pod wiadukt podpłynął brytyjski okręt podwodny ze zmniejszoną do 5 marynarzy załogą i potężną ilością materiałów wybuchowych umieszczonych w przedniej części kadłuba. Zadaniem tej partii było przerwanie połączenia mola z lądem przez zniszczenie wiaduktu.

Pod ciągłym ogniem karabinów maszynowych podpalono lonty połączone z materiałem wybuchowym znajdującym się w okręcie podwodnym. Załoga przeszła szybko do małej motorówki, kierując się do stojących na redzie okrętów brytyjskich. Potężny wybuch nastąpił kiedy załoga okrętu znajdowała się o 200 yardów od wiaduktu. Wszyscy marynarze znajdujący się na motorówce zostali ranni odłamkami pancerza okrętu podwodnego, udało im się jednak dostać na brytyjskie okręty. Skutkiem wybuchu część wiaduktu runęła w morze. Zadanie drugie również zostało spełnione.

Jak wielkie w tym czasie było natężenie walki i huk dział, świadczy najlepiej fakt, że na stojących o kilka tysięcy yardów kontrtorpedowcach brytyjskich nie można było odróżnić odgłosu wybuchu okrętu podwodnego z $7\frac{1}{2}$ tonami materiałów wybuchowych. Że okręt podwodny wyleciał w powietrze poznano tylko po olbrzymim słupie ognia pod wiaduktem.

Najważniejszą część operacji miały do wykonania trzy stare krążowniki: "Thetis," "Iphigenia" i "Intrepid." Zadaniem ich było zablokowanie wejścia do kanału. Ze zdjętymi częściowo działami, wypełnione suchym cementem i odpowiednią ilością materiału wybuchowego — trzy krążowniki miały sforsować przejście i zatopić się w wejściu do kanału.

Opisany przedtem desant na molo i wysadzenie w powietrze wiaduktu, miały na celu przygotowanie wykonania tego najważniejszego zadania.

Trzy krążowniki niezauważone zbliżyły się do wejścia do kanału. "Thetis" w ostatniej chwili stracił szybkość i nie nadążywszy zatopiony został o kilkadziesiąt yardów od wejścia do kanału. "Iphigenia" zaś i "Intrepid" legły w przewidzianym miejscu, blokując całkowicie kanał.

Cel operacji został osiągnięty. Niemieckie okręty podwodne zostały na dłuższy czas unieruchomione wewnątrz portu.

Przeprowadzane jednocześnie z akcją w Zeebrugge—usiłowanie zablokowania portu w Ostendzie zupełnie się nie udało. Niemcy przesunęli dzień przedtem boję wejściową do portu o 1 milę, co całkowicie pokrzyżowało plany brytyjskie. Dwa stare krążowniki "Sirius" i "Brilliant" przewidziane na zablokowanie Ostendy, zatopione zostały w nieodpowiednim miejscu.

Straty brytyjskie w ludziach w obu tych operacjach były wielkie. Zabitych zostało 189 marynarzy a rannych 383.

Admirał Keyes, nie zrażony niepowodzeniem w Ostendzie, powtórzył tę operację jeszcze raz w dniu 10-go maja. Tym razem wszystko się udało. Kanał wejściowy portu Ostendy zablokowany został przez zatopienie w nim krążownika "Vindictive," który został ciężko uszkodzony w Zeebrugge i w związku z tym poświęcony został na zablokowanie Ostendy.

Ten sukces marynarki brytyjskiej został przyjęty z ogromnym entuzjazmem przez narody walczące, po stronie aliantów tym bardziej, że przyszedł w okresie, kiedy ofensywa niemiecka na kontynencie europejskim czyniła zatrważające postępy a wojska alianckie ponosiły ciężkie straty, wzbudzając ufność we własne siły i wiarę w ostateczne zwycięstwo.

MIECZYSŁAW PRZECZOWSKI

Szkic sytuacyjny

MAC ARTHUR AUSTRALIJSKI

Generał Mac Arthur, który zyskał sobie sławę na Filipinach, gdzie walczył na półwyspie Bataan na stokach wulkanu przeciwko Japończykom, przedostał się do Australii. Z Mac Arthura *filipińskiego* stał się Mac Arthurem *australijskim*. Australia powitała z zapałem dzielnego generała i żywi nadzieje, że uratuje on położenie.

Ale sam Mac Arthur nie jest napewno takim optymistą i wie, że nie zdziała cudów. Ma on do czynienia z wrogiem, który posiadł arkana sztuki wojennej i któremu nie zbywa na sprycie. Japończycy usadowili się na *Nowej Gwinei* i zachodzą od tyłu *Port Moresby*. Australia przeżywa raz po raz bombardowania lotnicze a bazy japońskie rozłożone w pobliżu Australii, mnożą się co raz bardziej. Sama Australia nie jest obiektem łatwym do obrony ze względu na olbrzymią linię brzegu jak i na to, że nie posiada nawet 7-iu milionów mieszkańców. Mało osób zdaje sobie sprawę, że Australia obszarem równa się 2/3 *obszaru Europy z Rosją aż po Ural włącznie*. Jest to zatem przestrzeń niesłychana, której skuteczne bronienie wymagałoby conajmniej *dwóch milionów żołnierza*.

Oczywiście, Mac Arthur nie ma takiej siły i nie może jej mieć. Musi zatem operować *niewielkimi stawkami* żołnierza, musi polegać na szybkości działania, sprawności służby łączności, na odpowiednio rozmieszczonej służbie patrolowej i to zarówno w powietrzu jak na morzu. Zadanie jakie go czeka jest niebywale ciężkie. Jeżeli Mac Arthur odeprze ataki japońskie i jeżeli zdoła jeszcze przejść do *ofensywy*—a takie są bodaj jego ambitne zamiary—to wówczas bardzo szybko stanie się najpopularniejszym wodzem państw sojuszniczych.

INDIE PRZYGOTOWUJĄ SIĘ DO OBRONY

Pochód japoński na obszarze *Burmy* został nieco zwolniony. Wojska brytyjskie wycofały się dalej na północ i na zachód, oddziały chińskie nawiązały w kilku miejscach /m. in. na wielkim szlaku do Mandalay/ łączność z Japończykami. Walki na terenie Burmy prowadzone są przy pomocy niewielkich oddziałów i wydaje się, że Japończycy nie używają w Burmie ponad 30 do 40 tysięcy bagnetów. Wynika z tego, że *Nowa Gwinea* oraz *Jawa* pochłonęły lwią część sił japońskich. Skoro jednak obecnie Jawa znajduje się już w rękach japońskich, wszystko przemawia za tym, że Japończycy ściągną teraz wojska z Jawy i rzucą je na inny teatr wojny /poprzednio wojska z pod Singapuru przerzucone zostały po wykonaniu swego zadania na Jawę/.

Opóźnienię się marszu japońskiego na Indie jest niewątpliwie czynnikiem ważnym i *pomyślnym dla sojuszników*. W ten bowiem sposób można będzie przygotować znacznie staranniej obronę Indyj. Rozbudowanie sieci lotnisk zająć musi, nawet przy najlepszej woli i rozmachu, co najmniej 4 miesiące, biorąc w rachubę to, że braku rąk do pracy w Indjach napewno niema i że hinduscy robotnicy pracują szybko i inteligentnie. Inna sprawa, jaką ilość pościgowców będzie można przerzucić do Indyj dla obsadzenia lotnisk, podobnie ile bombowców będzie można oprzeć o bazy indyjskie dla zadawania ciosów Japończykom posuwającym się od strony Mandalay oraz—co należy przewidywać—próbującym ataku od strony *morza*.

Zadanie *generała Wavella* nie jest zatem również łatwe, chociaż ma on więcej czasu od generała Mac Arthura.

ROMMEL RUSZA SIĘ

Przed kilkunastu dniami Rommel bawił, jak powiadają wiarygodne źródła neutralne, w kwaterze głównej Hitlera i widziano go jak chodził po ulicach Berlina. Przed paru dniami powrócił do Libii z wyraźnymi—jak słychać—poleceniami. Ofensywa Rommla ma zacząć się bodaj jeszcze *w marcu*.

Tyle doniesienia idące via Szwajcaria i Szwecja. Zdaje się, że istotnie Rommel przejdzie do akcji. Wywiad lotniczy i lądowy Rommla w Libii staje się co raz żywszy. Donoszą, że patrole jego zapuszczają się już pod *Tobruk*. Posiłki, jakie Rommel otrzymuje od strony Sycylii i lądu stałego Włoch, są napewno wcale poważne. Lotnictwo, jakie Rommel zgromadził jest dzisiaj silniejsze może aniżeli w jego poprzednim uderzeniu. Rommel najwyraźniej czekał na jakieś rozkazy, ażeby ruszyć.

Wydaje się, że ofensywa Rommla powinna być za wszelką cenę *utrącona* i to zaraz, teraz. Narady, jakie odbywały się w kwaterze sojuszniczej w Kairze napewno dotyczyły doniesień o ruchach Rommla. Wojska brytyjskie winne zdobyć się na najwyższy wysiłek i runąć na Rommla teraz, kiedy zbiera on się do skoku. Inaczej pchnięcie jakie wymierzy Rommel może zaprowadzić go daleko.

OBAWY TURCJI

Turcja zdaje sobie sprawę, że coś się na Bałkanach święci i że ta wiosna może wiele przesądzić. Bułgaria skupia wojska a podobno nie wymiga się już ona od wypowiedzenia wojny Rosji. Ruchy wojsk niemieckich przez Bułgarię przybierają poważne rozmiary—braki żywnościowe w Bułgarii są najlepszym dowodem, że ruchy te muszą być znaczne. *Von Papen* wyruszył do Berlina, gdzie rozdaje się ostatnie niejako polecenia przed wiosenną ofensywą. Czy decydują się i ważą losy Turcji? Czy nie przystawi się jej pewnego pięknego poranku rewolweru do piersi i nie zażąda zezwolenia na przemarsz wojsk? Prezydent Turcji powiedział parę dni temu, że Turcja jest w pełni *zmobilizowana*.

MASZYNA NIEMIECKA NA NAJWYŻSZYCH OBROTACH

Kupcy i przemysłowcy, którzy niedawno odwiedzali Rzeszę powiadają, że maszyna wojenna Niemiec pracuje na najwyższych obrotach, że przemysł nie przyjmuje żadnych zamówień, albowiem istnieje tylko jedno zamówienie: wojenne. Prof. Spee mianowany został nadkomisarzem, który czuwa nad tym, ażeby wszelkie potrzeby armii zostały zaspokojone, szał pracy ogarnął Niemcy. Naród niemiecki wie, że w tym roku czeka go *próba ogniowa*, najwyższa próba nerwów i sił. Wie, że zaciągnięcie się kampanii na Wschodzie na nową jesień i zimę —pachnie *katastrofą*. Dlatego wszystkie spojenia Trzeciej Rzeszy trzeszczą w morderczej robocie. Słusznie powiadają znawcy angielscy, że Rzesza wystąpi na wiosnę z niebywałym zasobem sprzętu. Zawsze bowiem po długich przerwach w działaniach—po kampanii polskiej, potem po francuskiej—Rzesza *przyczajała się*, ażeby przejść do nowego szturmu z wielką siłą uderzenia.

Hitler wyznaje zasadę, że należy atakować z największą siłą—albo wcale nie. *Albo furia ataku, albo cisza przygotowania.* Zasady tej przestrzegał dotychczas. Dlatego ostrożność każe przewidywać niebywałe nasilenie uderzenia niemieckiego—którego *kierunku* dalej jeszcze całkowicie nie znamy.

KIERUNEK NIEZNANY

Wszystko wskazuje na to, że Hitler runie na Rosję. Ale dyspozycja armii niemieckiej jest pono taka, że mogłaby ona przejść do akcji *na kilku frontach*. Do ostatniej chwili Rzesza chce łudzić i mamić przeciwników, którzy mają się trudzić zgadywaniem, gdzie Niemcy uderzą.

Wiemy, że dotychczas Hitler był zwolennikiem teorii, że uderzać trzeba *na jednym tylko froncie* i to koncentrycznie, a zostawiać inne odcinki w spokoju. Tak było w czasie kampanii w Polsce, kiedy lekceważąco zostawił tylko 8 czy 9 dywizyj na Linii Zygfryda, tak było potem w czasie ataków na Bałkany, na Rosję; zobaczymy czy zasada ta będzie i tym razem przestrzegana.

Uderzenie w kilku punktach: od Pirenejów aż po Rosję nie jest wykluczone. Byłaby to jednak nowość w strategii niemieckiej, która dotychczas okazała się wcale *sztywna* i nie odchylała się od raz ustalonych wzorów. Faktem jest także, że czystka generalska, jaką Hitler przeprowadził, nie zakreśliła narazie szerszego kręgu i że pewni dowódcy, jak n.p. *von Brauchitsch*, wrócą bodaj do czynnej służby i znajdą się znowu na froncie. Dowodziłoby to, że Hitler nie chce się pozbywać swoich generałów zupełnie.

Zmiany, jakie zaszły ostatnio w układzie sił zbrojnych w samej Rzeszy, są wcale ciekawe. Oto formacje *S.S.* rozbudowano i usamodzielniono */Waffen S.S./*. Otrzymały one eskadry lotnicze, czemu dotychczas sprzeciwiał się sztab niemiecki—von Brauchitsch najbardziej stanowczo *zwalczał* ten plan. Oddziały S.S. są zatem dzisiaj *pełną armią* i nie brakuje im niczego. Czy tworzy się oraz wzmacnia tę armię partyjną tylko dlatego, że istnieje obawa, że w razie załamania ofensywy na froncie wschodnim dojdzie w Rzeszy do zbyt *silnego napięcia* i że trzeba będzie nawet armię trzymać w ryzach? Jest to rzecz możliwa —*w każdym razie w tej wojnie zadanie rozbicia Rzeszy będzie trudniejsze, albowiem rozbić trzeba będzie nietylko armię niemiecką, ale również i partię. Partia zaś nie jest sobie zwykłą organizacją, ale armią doskonałego rodzaju, uzbrojoną po zęby.* Ona napewno nie podda się, albowiem wie co ją czeka. W razie pokonania armii Rzeszy dojdzie do zdecydowanej rewolucji w Rzeszy—*ale partia nie złoży broni i będzie walczyć.*

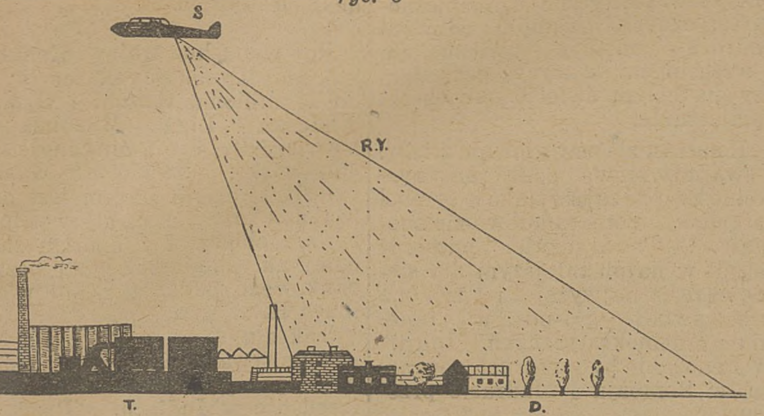
Rewolucja, jaka wybuchnie w Niemczech w razie wojskowego załamania będzie straszna i krwawa. *Tym większa potrzeba zajęcia zbrojnego całego obszaru Rzeszy. Tego się nie uniknie, inaczej bowiem zamęt rewolucyjny, jaki wybuchnie w Rzeszy, ogarnie cały kontynent.*

Londyn, 23 marca 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Czy Niemcy użyją gazów bojowych?

rys. 5



T = MIASTO PRZEMYSŁOWE. D = DROGA/SZOSA/ PROWADZĄCA DO MIASTA. S = SAMOLOT NP-LSKI WYKONUJĄCY ATAK. RY. = ROZPRYSKANA CIECZ GAZU BOJ./IPERYTU/ OPADAJACA NA ZIEMIĘ.

II.*

Jednym z najmniej znanych, choć może najprawdopodobniejszych sposobów ataku lotniczo-gazowego, jaki zastosować mogą Niemcy w próbach inwazji, to atak przy pomocy rozpryskiwaczy i rozpylaczy lotniczych. Rozpryskiwacze są to zbiorniki wypełnione cieczą gazu bojowego trwałego (np. iperytu), umieszczone w samolocie, z których gaz ten jest rozpryskiwany pod ciśnieniem, w czasie lotu płatowca. Rozpylacze podobnie jak rozpryskiwacze rozpylają na teren obrany, nie ciecz jednak, ale proszek gazu bojowego, w postaci drobnej zawiesiny. Proszek ten opada na ziemię i atakuje będąc jeszcze w powietrzu drogi oddechowe i oczy organizmów żywych.

Jako najbardziej nadające się do rozpryskiwania uważać należy gazy bojowe takie np. jak iperyt i luizyt. Opadać będą one na ziemię i ludzi tam się znajdujących, w postaci większych lub mniejszych kropel. Do rozpylania użyte być mogą gazy stałe (proszki) takie jak sternity (adamsyt), lub inne gazy drażniące i trujące. Poza tym nieprzyjaciel stosować może w rozpryskiwaczach jako ciecz rozpryskiwaną stężone kwasy np. siarczany, kwas solny i azotowy. Działanie ich będzie wybitnie żrąco-parzące (nieco inne w następstwach niż od iperytu), jeśli chodzi o ciało ludzkie, w stosunku do sprzętu, oporządzenia, ubrania itp. działanie to będzie wybitnie żrące, a nawet palące (w przeciwieństwie do iperytu).

Opryskiwanie i opylanie stosowane być może przez lotnictwo np-la z różnych wysokości, nawet 3500 metrów (10.000 stóp), choć najbardziej prawdopodobne i najbardziej skuteczne, będzie użycie ich z wysokości niewielkich, a więc: 50 m. (150 stóp); 100 m. (300 stóp); 150 m. (450-500 stóp), aż do wysokości 500 m. (1000-1500 stóp). Rys. 5.

Dla przykładu podam jak wielką przestrzeń i jak skutecznie skazić może pojedyńczy samolot. Zaopatrzony w rozpryskiwacz o pojemności około 500 kg. iperytu, lecąc z szybkością 250 km/godz. i wykonywując opryskanie z wysokości 150 m., w ciągu 10 sek. samolot, może skazić odcinek terenu 750 m. długi i 25 m. szeroki, czyli, powierzchnię około 20.000 m^2 i to bardzo skutecznie t. zn. że powierzchnia ta będzie obficie skropiona cieczą gazu bojowego.

Odmiennym nieco sprzętem napadu lotniczo-gazowego będą t. zw. ampułki gazowe. Są to wykonane ze szkła lub ze specjalnej mieszaniny elastycznej (prawdopodobnie żelatynowo-glicerynowej) zbiorniki w formie długich cylindrów (wielkich ampułek) o pojemności od 2 do 10 kg. iperytu, lub innego gazu trwałego. Ampułki te są zrzucane z samolotów masowo, tak jak obecnie masowo używane są małe bomby zapalające. Ampułka taka spadając na ziemię ulega stłuczeniu i daje w rezultacie plamę chemiczną, nie wielką choć bardzo skoncentrowaną i obficie skażoną. Rys. 6.

Użycie ampułek gazowych w pierwszych liniach obronnych, zwłaszcza tam, gdzie obrzucony ma być nimi teren stosunkowo miękki np. ziemia orna, pola, łąki, ogrody itp. jest mało prawdopodobne, ze względu na to, że, jak wykazały doświadczenia, w terenie takim ampułki nie zawsze ulegają stłuczeniu. Za to w stosunku do miast i osiedli, użycie ich jest zupełnie pewne. Tu ampułka po upadku rozbija się prawie zawsze, trafiwszy na twardy bruk ulic, mury i dachy domów itp.

Przejdę wreszcie do omówienia ostatniego z możliwych sposobów napadu gazowego. Będzie to użycie chemicznych środków bojowych w sposób podstępny—wewnątrz kraju. Użycie ich skierowane będzie przede wszystkim przeciwko armii, ale również skierowane być może, w znacznej mierze, przeciwko ludności cywilnej.

Użycie to polegać będzie na zastosowaniu gazów bojowych, najczęściej o działaniu opóźnionym, podstępnym działaniu gazów trwałych, np. iperytu. Ten sposób ataku stosowany być może przez:

—dywersantów, szpiegów i członków "piątej kolumny," oraz

—przez wysadzonych spadochroniarzy.

Jeśli chodzi o pierwszych, to podobnie jak to robili w czasie ubiegłej wojny, w sztabach, na tyłach armii, mogą skażać oni ciekłym iperytem, stosując nawet najprostsze sposoby — sprzęt, pojazdy mechaniczne, sprzęt uzbrojenia, lokale i miejsca postoju dowództw itp. Ponadto uzyskawszy wiadomości o przemarszu przez określone miejsce, większych oddziałów wojskowych, mogą wykonać skażenia tych miejsc skrycie, rozlewając iperyt wprost z butelek. Miejscami takimi mogą być: mosty, wąskie ulice, wejścia na dworce, perony, do portów itp. Te drobne "ataki" dywersyjne miałyby na celu dotknięcie bezpośrednie wojska.

Ale przyjść mogą "ataki" tego rodzaju w stosunku do ludności cywilnej oraz cywilnych organizacji obrony wnętrza kraju. A czyż nie jest możliwe, dla masowego unieszkodliwienia pewnych grup ludności np. robotników przemysłu wojennego — skażenie uchwytów i poręczy w tramwajach i autobusach. Przecież wykonane to być może z łatwością, jeśli zdrajca lub szpieg znajdzie się w szeregach pracowników komunikacji miejskiej. A skażenie narzędzi pracy, w wytwórniach przemysłu wojennego? A skażenie urządzeń użyteczności publicznej, jak stacji pomp, wodociągów, elektrowni itp. A skażenie np. hydrantów ulicznych, zwłaszcza przed spodziewanym nalotem? Czyż w pewnym podnieceniu alarmowym skażenia te nie mogą ujść uwadze i spowodować oparzenie setek osób cywilnych i wielu pracowników ARP, w czasie wykonywania przez nich ciężkiej i ofiarnej pracy?

A teraz jak używać mogą chemicznych środków bojowych spadochroniarze niemieccy? Tutaj skażenie będzie miało na celu sianie dywersji i zamieszania na bliskich tyłach naszych wojsk, przez skażenia dróg, mostów, obiektów wojskowych, sprzętu itp. Ponadto skażeniu ulec mogą studnie, wodociągi, składy żywności, sklepy żywnościowe itp. Naturalnie, że działania te dotkną nie tylko wojsko, ale i ludność cywilną.

Przy wykonaniu działań takich spadochroniarze posługiwać się mogą bronią chemiczną w postaci granatów ręcznych, chemicznych, min gazowych itp. Sprzęt ten mogą posiadać przy sobie skacząc z samolotów na obrany teren, lub też może on im być dostarczany dodatkowo z samolotów przez opuszczanie na specjalnych spadochronach. Jeśli chodzi o rodzaje gazów, jakie w działaniach takich mogą być użyte, to jak wyżej zaznaczyliśmy najprawdopodobniejszym jest użycie przede wszystkim gazów trwałych, parzących, o działaniu opóźnionym, jak iperyt lub luizyt. Ponadto dla skażania np. wód, żywności itp. użyte być mogą gazy bojowe trujące (np. trujące związki arsenu) i drażniące.

Powróćmy teraz do pytania, które postawiliśmy na początku tego artykułu: a mianowicie: jakie to nowe gazy Niemcy wyprodukowały i gotowe są użyć?

Już na długo przed obecną wojną ukazywały się w prasie całego świała, a więc europejskiej (francuskiej, włoskiej, holenderskiej), oraz amerykańskiej artykuły i notatki (jak się zdaje inspirowane przez agentów i propagandę Goebbelsa), że niektóre państwa, a zwłaszcza Niemcy posiadają w dziedzinie gazów wynalazki wprost zastraszające. Mówiło się o gazach "spalających" nie tylko maskę przeciwgazową, ale i cały organizm, słyszało się o gazach, "na które nie ma sposobu obrony i ratunku" itp. historie, obliczone na tani efekt wywołania paniki i zastraszenia opinii publicznej. Patrząc jednak na zagadnienia te spokojnie i rozważnie, a zwłaszcza rozpatrując je z punktu widzenia naukowego-chemicznego stwierdzić należy, że chemia jest nauką ścisłą, nie zna ona zagadnień, których nie dało by się przewidzieć, choćby nawet na dłuższą metę. Nie zna ona też związków, które by miały jakieś nadzwyczajne działania. Wszystko da się tu ująć i usystematyzować. Każdy nawet nowo wynaleziony związek, którego bliżej nie znamy, o ile tylko określimy w przybliżeniu z jakich składników powstał, może być z góry ogólnie scharakteryzowany i można przewidzieć jego własności. To też dla ludzi znających chemię, dla ludzi, którzy z zagadnieniami gazów bojowych stykali się bliżej, te fantastyczne "bajki" dra. Goebbelsa zawsze wydawały się śmieszne, a zarazem podłe.

Bez wątpienia cały szereg nowych gazów bojowych mógł być wynaleziony i wyprodukowany po wojnie światowej. Nie świadczy to jednak bynajmniej, by nie dało ich się podciągnąć pod którąkolwiek ze znanych grup gazów bojowych. Grupy te bowiem ujmują systematycznie gazy bojowe według ich działania na organizm człowieka. A dla działania na organizm człowieka trucizny dostać się muszą pewnymi drogami jak: organy oddechowe, krew, powierzchnia skóry itp. Innych dróg dostania się do organizmu nie ma. I nie ma też innych grup działań. To też każdy nowopowstały gaz bez względu na to czy działanie jego będzie silniejsze, czy słabsze w swym rodzaju, zawsze da się zaliczyć do którejś z grup, przynajmniej z grubsza, a wtedy wiemy jak się przed nim bronić i jak leczyć następstwa zatrucia.

Ponadto nie każdy gaz bojowy, nowowynaleziony, choć działa na organizmy żywe najbardziej nawet zabójczo, może się stać gazem naprawdę "bojowym," t. zn. może być z powodzeniem użyty na polu walki. Tak nie jest. Na to, by gaz bojowy stał się naprawdę przydatny w walce, musi poza działaniem toksycznym (trującym), mieć cały szereg zalet, które pozwolą go z powodzeniem zastosować. I tu nauka i technika natrafia na wielkie trudności. Napastliwość gazu z możliwościami jego użycia w walce często nie idą w parze.

Wszystkie dotąd znane z czasów wielkiej wojny gazy bojowe, oraz te, które powstały poźniej i powstają, z góry podzielić można, z punktu widzenia działania na organizm człowieka (podział ten znamy dobrze) na: duszące, trujące, drażniące i żrąco-parzące. Jakich z pośród tych gazów będą Niemcy używać? Statystyki amerykańskie z wojny światowej wskazują, że najbardziej napastliwymi w stosunku do ludzi (czyli wywołującymi największą ilość wypadków śmiertelnych i ciężkich schorzeń) były gazy żrąco-parzące, następnie gazy duszące, a wreszcie drażniące, sternity. Stosunek ten wyraża się jak: 10.4.1.

To też najbardziej prawdopodobne wydaje się nadal użycie przez Niemców i w tej wojnie tych właśnie grup gazów bojowych. Bezwątpienia, że użyte być mogą i jakieś nowe związki o działaniu potężniejszym, o działaniu połączonym itp. jednak zawsze dadzą się one zaliczyć do którejś ze znanych grup, a więc znane będą też i sposoby obrony.

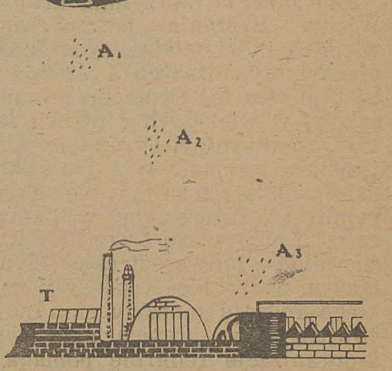
Powracając do sprawy sposobu użycia gazów bojowych przez Niemców w wypadku próby inwazji, na zakończenie omówię przykładowo jedną z wielu ewentualności. Rys. 7.

Pod osłoną dalekonośnego ognia, prowadzonego z dział okrętów wojennych, na obrany dogodny odcinek inwazyjny wybrzeża nieprzyjaciel podprowadzić może w odległości 20-25 km. od lądu, okręty handlowe z wmontowanymi nań bateriami butli gazów bojowych. Pomiędzy ostrzeliwującymi wybrzeże okrętami wojennymi, a okrętami handlowymi, ukryte być mogą łodzie z oddziałami desantowo-inwazyjnymi, przygotowane do natychmiastowego lądowania. Wykorzystując sprzyjający wiatr z morza na ląd, jego odpowiednią szybkość, oraz inne konieczne warunki atmosferyczne, nieprzyjaciel wykona z okrętów handlowych potężny atak falowy. Fala gazowa, tak utworzona, płynąc ponad powierzchnią morza, dotrze po jakimś czasie do wybrzeża i tu nadal posuwana wiatrem przeniknie w głąb, skażając wszędzie skutecznie atmosferę. Działanie takiej fali gazowej nieprzyjaciel będzie usiłował potęgować przez ostrzeliwanie w dalszym ciągu wybranego odcinka wybrzeża pociskami gazowymi z dział okrętowych, oraz przez bombardowanie lotniczymi bombami gazowymi. Pod osłoną tego kombinowanego ataku gazowego, będzie się starał wysadzić na tym odcinku wybrzeża przygotowane oddziały inwazyjne.

Wszystkie te omawiane powyżej możliwości użycia gazów bojowych w momencie decydującym próby inwazji, mogą być wprowadzone do walki przez chwytającego się ostatecznych środków wroga. Jedno jest tylko pewne, że wprowadzenie tych środków do walki nie przyjdzie mu z łatwością i napewno nie odniesie pożądanego efektu. Bo po pierwsze, aby wykonać tego rodzaju trudne do zmontowania, kombinowane działanie wojenne musi on mieć czas i sprzyjające okoliczności. A tych napewno Niemcom nie da ani Flota J.K.M., ani R.A.F. Jeśli zaś gdzie nie gdzie, na drobnych odcinkach inwazyjnych, mogłoby się takie przedsięwzięcie udać, to czuwające wszędzie na wybrzeżach wojska brytyjskie i sojusznicze odpowiednio te lokalne sukcesy zlikwidują dając barbarzyńskiemu najeźdźcy należytą ripostę.

O działanie moralne na ludność cywilną W. Brytanii tego nowego środka walki nie należy się zbyt obawiać, znając wspaniałe morał i postawę Brytyjczyków. Ludność ta, która przeszła barbarzyńskie naloty na Londyn, Coventry, Birmingham, Clyde, Portsmouth itd. nie da się zastraszyć i zmóc stosunkowo krótko działącym gazom bojowym. Gazy te bowiem, przy dobrym zaopatrzeniu w maski przeciwgazowe ogółu ludności, przy wysokim poziomie wyszkolenia w obronie, karności i dyscyplinie społecznej, jak również przy wspaniałej organizacji i wyposażeniu drużyn ratowniczych

rys. 6



$A_1 A_2 A_3$ = SALWY WYRZUCANYCH AMPUŁEK Z GAZEM BOJ. TRWAŁYM /IPERYT/ S = SAMOLOT NP-LSKI. T = TEREN /MIASTO/

ARP, będą w porównaniu z morzem płomieni i ognia, oraz tysiącem pękających bomb najcięższego kalibru, stosunkowo mało groźne i działające ujemnie na psychikę.

Ażeby użycie gazów bojowych ani w momencie ich zastosowania po raz pierwszy przez nieprzyjaciela, ani poźniej nas nie zaskoczyło, należy przede wszystkim—zarówno w polu, jak i na kwaterach, na linii bojowej, jak i w głębi kraju, stosować wszędzie bardzo rygorystycznie wszelkie przepisy i instrukcje obrony przeciwgazowej, tak jednostkowej, jak i zbiorowej. To co się niektórym wydaje często nieistotne i uciążliwe, przy stosowaniu już dziś, gdy nic zdawało by się jeszcze istotnego nie zagraża, będzie często zbawiennym w razie właściwego niebezpieczeństwa.

Pamiętajmy, że nie ma nic takiego w regulaminach, przepisach i instrukcjach OPGAZ co by nie było uzasadnione wymogami koniecznej obrony. Zasady te i przepisy powinna stosować nie tylko armia, ale i cała bez żadnego wyjątku ludność cywilna. Żadne względy nie mogą tłumaczyć tych, którzy bagatelizują, lub umyślnie omijają przepisy OPGAZ już teraz.

Pamiętajmy ponadto, że w razie rozpoczęcia przez barbarzyńskich Hunnów stosowania gazów bojowych—należy wzmóc czujność!

Mieć zawsze oczy i uszy otwarte!

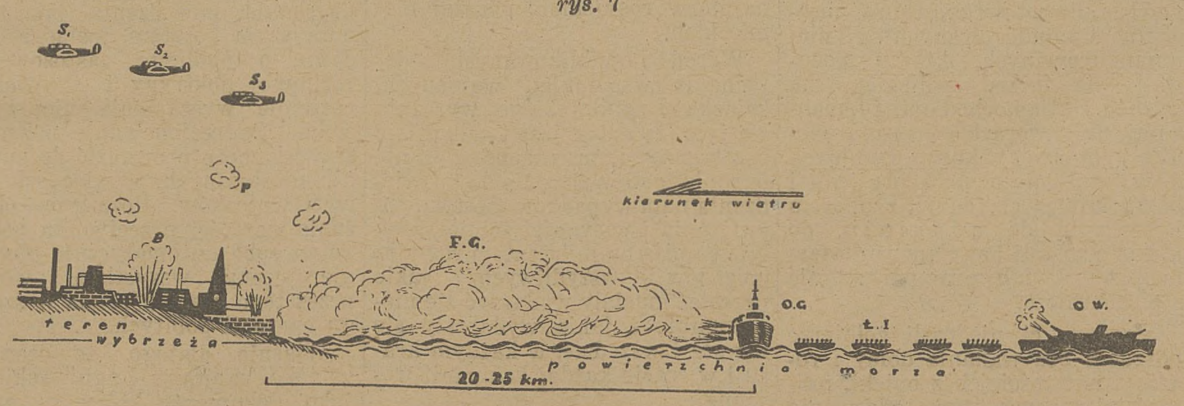
Powonienie tak nastawione i wytrenowane, by potrafić zawsze na czas wyczuć zmianę zapachu panującego w otoczeniu!

Posługiwać się stale i wszędzie wykrywaczami i nie omijać częstej ich obserwacji.

W razie stwierdzenia użycia gazów bojowych przez nieprzyjaciela, lub, gdy podejrzewamy ich użycie, natychmiast meldować przełożonym lub władzom wojskowym, w braku tychże miejscowym władzom policji, służby A.R.P. lub Home Guard'u.

ANTIGASUS

rys. 7



O.W. = OKRĘTY WOJENNE NP-ŁA OSTRZELIWUJĄCE BRZEG DALEKONOŚNYM OGNIEM PRZY POMOCY POCISKÓW GAZOWYCH I ZWYKŁYCH. Ł.I. = ŁODZIE INWAZYJNE PŁASKODENNE WYPEŁNIONE ODDZIAŁAMI DESANTOWYMI O.G. - OKRĘTY HANDLOWE ZAOPATRZONE W BATERJE BUTLI Z GAZEM. F.G. = WYPUSZCZONA Z OKRĘTÓW HANDL. FALA GAZU LOTNEGO, PRZESUWANA WIATREM. $S_1 S_2 S_3$ = SAMOLOTY NP-LA BOMBARDUJĄCE WYBRZEŻE PRZY POMOCY BOMB GAZOWYCH I ZWYKŁYCH P. = WYBUCHY POCISKÓW Z DZIAŁ OKRĘTOWYCH. B = WYBUCHY BOMB LOTNICZYCH

* Por. nr. 12 "Polski Walczącej."

Indie w zasięgu wojny*

W drugiej połowie XIX wieku Anglicy dokonali w Indiach gigantycznego dzieła: 350 milionom ludzi o starej kulturze w swoich wyższych warstwach, ale zacofanym w swojej masie, udostępnili europejską cywilizację przemysłową. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat dali Indiom laureatów Nobla, doktorów, nauczycieli, matematyków i architektów. Zlikwidowali głód i okiełznali epidemie. Dokonano tego z około 100.000 wojska i kilkunastu tysiącami białych urzędników z *Indian Civil Service*.

Niewątpliwie Wielka Brytania miała w tym wszystkim interes gospodarczy. Czystej miłości bliźniego w życiu narodów nie ma; ale oskarżanie tysięcy brytyjskich "budowniczych mostów," jak ich nazwał Kipling, o gruby materializm jest niesprawiedliwe i krzywdzące. Tak wysoko stojących moralnie postaci, jak Sir John Lawrence, pierwszy gubernator Pendżabu, było wiele wśród Anglików w Indiach.

Błąd Wielkiej Brytanii, ściśle psychologiczny i być może nieunikniony, był całkiem innej natury. Odbudowując ze zdumiewającą łatwością dziedzictwo Wielkich Mogułów, Anglicy przestali troszczyć się o odczucia Hindusów, narodu /czy narodów, w zależności od tego co się uważa za naród/ ludzi inteligentnych, przewrażliwionych i przesubtelnionych, szczególnie w Bengalu, kolebce większości inteligentów. Kipling jest klasycznym przykładem tego zjawiska. Doskonały obserwator kolonialnych Anglików i przyrody, tam gdzie chodziło o Hindusów był dziwnie prymitywny.

Dla zarządu olbrzymim krajem Wielka Brytania potrzebowała wielkich ilości miejscowych funkcjonariuszy niższych i średnich. W tym celu też tworzono setkami szkoły, w większych centrach zakładano uniwersytety z angielskim językiem wykładowym. Po kilkudziesięciu latach zawody wolne wypełniły się i mogły już wchłaniać co roku nieznaczną tylko ilość wychowanków uniwersyteckich. Tymczasem wszechnice i szkoły wszelkiego rodzaju mnożyły się, Indie bowiem były terenem misyjnym i organizacje religijne pomagały rządowi w przysparzaniu instytucji naukowych i co raz to większa fala studentów prawa czy filozofii znajdowała się nie tylko bez pracy, ale i bez nadziei otrzymania pracy kiedykolwiek.

Poza tym co raz większe ilości Hindusów zaczęły studiować w Europie i często traciły szacunek do rasy białej jako całości. Tymczasem po powrocie widzieli w Indiach nie tylko białych na kluczowych stanowiskach, ale byli oddzieleni od nich ścianą towarzyskich konwenansów. Narody anglosaskie niechętnie odnosiły się od niepamiętnych czasów do innych ras. W Indiach niechęć ta, szczególnie po Wielkim Buncie i istnienie od niepamiętnych czasów systemu kast, dziedzicznego i sztywnego zróżniczkowania doprowadziły, praktycznie rzecz biorąc, do wzajemnego ignorowania się na terenie towarzyskim. I to właśnie wówczas, kiedy co raz ważniejsza stawała się współpraca miejscowego elementu w zarządzie olbrzymim kompleksem zwanym Indiami wraz z Burmą i Beludżystanem.

Kompania Wschodnio Indyjska nie zadawała sobie pytania co do własnej użyteczności dla Indii. Rząd brytyjski, a przynajmniej wielu jego wysokich przedstawicieli od pierwszej chwili uważało siebie za kuratorów raczej, aniżeli za właścicieli kraju. Z chwilą też kiedy europejski system wychowawczy przygotował odpowiednie kadry, używano ich zamiast sprowadzonych Europejczyków. Hindusi jednak obok umiejętności fachowych wynosili z uniwersytetów zapas pojęć prawnych i filozoficznych i ugruntowaną samodzielność myślenia. Założony w roku 1885 t. zw. Kongres Narodowy, organizacja mająca reprezentować polityczną myśl indyjskich czy raczej bengalskich intelektualistów, stała się szybko partią żądającą co raz większych praw politycznych, aż do uchwały z roku 1928, domagającej się zerwania więzów z Imperium Brytyjskim.

Rząd Indii i sekretariat stanu dla Indii w Londynie rozumiały, iż muszą nastąpić reformy i po długich rozważaniach stworzono rady doradcze, złożone częściowo z tubylców. Zmiany te, t.zw. reformy Morley-Minto, nie wystarczały dla zaspokojenia najbardziej skrajnych żywiołów wśród inteligencji indyjskiej. W pierwszym dziesiątku XX wieku w wielkich miastach w Indiach pojawił się proletariat fabryczny.

Tymczasem wybuchła wojna w 1914-tym roku. Rząd brytyjski wydał proklamację do Indii, obiecującą statut dominialny po wojnie. Wojska indyjskie biły się walecznie na wszystkich frontach. Armia liczyła około miliona ludzi w tym 600,000 było w czynnej służbie.

Po zawieszeniu broni rząd brytyjski rozszerzył współudział miejscowej ludności w rządach /reformy Montague-Chelmsford/, ale pełnej suwerenności demokratycznej, takiej jak w jednorodnych plemiennie dominiach nie mógł dać bez uprzednich, dłuższych przygotowań. Indie są zbyt wielkie i skomplikowane, aby można je było ująć w proste formy demokratycznego parlamentaryzmu.

W Indiach Brytyjskich mniejszość mahometańska, 22 procent ogółu ludności, uważa się za zagrożoną przez większość hinduską. Zaburzenia wyznaniowe stanowią stałe "urozmaicenie" życia w większych miastach i mimo całego wysiłku niemieckiej propagandy trudno jest uwierzyć, iż są one za każdym razem wywołane przez prowokatorów policyjnych.

Kilkadziesiąt milionów "niedotykalnych," t.j. członków tak niskich kast, iż sam widok ich jest obrazą boską dla bramina czy przedstawiciela innej "lepszej" kasty, fatalne warunki aprowizacyjne, specjalne zobowiązania Korony Brytyjskiej wobec książąt panujących, uniemożliwiały szybkie nadanie Indiom systemu rządu demokratycznego. Zresztą wydaje się, iż hinduski geniusz narodowy przystosowany jest raczej do formy dobroczynnej autokracji; taki system panuje przynajmniej w kilku najbardziej postępowych, i najlepiej rządzonych państwach tubylczych jak Mysore, Baroda i Travencore.

Rząd brytyjski usiłował mimo trudności wywiązać się z obietnic. Wprowadzono parlamenty prowincjonalne i ogólne, dla całych Indii Brytyjskich, powiększano i rozszerzano grono wyborców, "indianizowano" armię Indii t.j. dopuszczano Hindusów do stopni oficerskich. Indie były członkiem Ligi Narodów i posiadały swoje przedstawicielstwa w innych dominionach, a nawet w koloniach portugalskich i w Hamburgu, gdzie wymagały tego interesy emigracyjne i gospodarcze.

Mimo to jednak Indie były w stanie wrzenia. Kongres pod przewodnictwem Gandhiego, a potem zdeklarowanego komunisty i bardzo utalentowanego publicysty Jawarhalala Nehru stawiał co raz bardziej skrajne propozycje. Oskarżano Wielką Brytanię o wszelkie zbrodnie. Wytworzyła się specjalna, bardzo liczna szkoła sentymentalno-histerycznych publicystów polityczno-ekonomiczno-historycznych. Gandhi odbywał podróże między więzieniem a wrzecionem, a kryzys gospodarczy na całym świecie powiększał zamieszanie.

Kongres, złożony głównie z t.zw. "swaradżystów" /od *svaraj*—wolność/ przyjął jako symbol sztandar pomarańczowo-zielono-biały. Ci "swaradżyści" mimo, iż liczyli w najpiękniejszym dla siebie okresie najwyżej 4 i ½ miliona przemawiali głośno w imieniu "demokratycznych Indji." W Pendżabie były rozruchy agrarne, w Bombaju i Madrasie przemysłowe.

Kiedy w 1935 roku parlament Westminsterski uchwalił nową federalną konstytucję, sytuacja zdawała się bez wyjścia. Konstytucja zresztą nie zadowoliła nikogo. "Swaradżyści" uważali ją za jeszcze jeden dowód perfidii angielskiej, miejscowi konserwatyści za zaprzepaszczenie patrymonium, a Winston Churchill za narażenie bezpieczeństwa Imperium na szwank.

Z grubsza rzecz biorąc, konstytucja polegała na tym, iż państwa niezawisłe zrzekną się części uprawnień i wezmą udział w ogólno indyjskim parlamencie. Obrót międzynarodowy, obronę i sprawy zagraniczne zastrzeżono dla wicekróla czyli Wielkiej Brytanii. I kiedy wydawało się, że wszystko jest stracone, w najbardziej dramatycznym momencie—zjawił się na arenie stosunków anglo-hinduskich—Hitler.

* * *

Po wybuchu wojny Kongres, którego liczebność skurczyła się do 1½ miliona, Gandhi i Ogólno-hinduska Liga Muzułmańska potwierdziły swoje antyangielskie stanowisko. "Święty" Gandhi ogłosił, iż całym sercem jest przy narodzie brytyjskim, ale współpracy nie obiecał i z uporem żądał dalej natychmiastowego i bezwarunkowego oddania rządu w Indiach Hindusom.

Tak długo jak przed Linią Maginota trwał "*Sitzkrieg*" można było spokojnie pozwolić sobie na irredentę w Indiach. Rząd nie bardzo nawet temu przeszkadzał. Z chwilą jednak przystąpienia Włoch do wojny i zagrożenia Egiptu, a wreszcie wschodnich bram Indji politycy hinduscy zdecydowali, iż teraz nie czas na drobnostki. Pod niemieckim *gauleiterem* będzie się żyło znacznie gorzej, aniżeli przy Markizie Linlithgow, kiedy to można swobodnie pisać, że Anglicy to zbrodniarze.

Mimo pewnej obstrukcji nieprzejednanych i niezawsze rozsądnych proroków wszelkiego autoramentu udział Indji w wojnie jest w chwili obecnej znaczny i skuteczny. Rząd indyjski, t.zw. Rada Wykonawcza Wicekróla, posiada siedmiu ministrów zarówno muzułmanów, jak Hindusów i to na tak ważnych stanowiskach jak: Zaopatrzenie, Praca, Informacja.

Przeszło 60.000 tysięcy doskonałych wojsk, rekrutujących się z wojowniczych plemion Sikhów, Mahrattów i muzułmanów Penżabskich biło się już pod Tobrukiem, w Abisynii, Syrii, Iraku i Persji, dorównując w zupełności wspaniałym stuletnim tradycjom bojowym hinduskich pułków w służbie Korony Brytyjskiej. Milionowa armia znajduje się w ostatnich stadiach organizacji pod rozkazami Wavella. Lotnictwo kształci pilotów w Risalpur i mechaników w Ambala. Wreszcie Marynarka Wojenna, składająca się z patrolowców i kanonierek pełni służbę na Oceanie Indyskim i Morzu Śródziemnym. Udział państw Indji w wojnie jest olbrzymi, zarówno w dostarczanych własnym sumptem wojskach jak i w pieniądzach.

Wreszcie wojna jest dla Indji pod pewnym względem dobrodziejstwem. Największym nieszczęściem olbrzymiego kontynentu i jego licznych mieszkańców była nędza. Wywołana przez tysiąc okoliczności, była źródłem tysiąca nieszczęść. Dzięki oddaleniu teatru działań wojennych, Indie przez dwa lata zmieniły się w jeden z arsenałów Imperium Brytyjskiego, a co za tym idzie, miliony i miliony "niedotykalnych," które do tej pory nie miały co włożyć do ust oprócz garści ryżu, zaczynają jeść do syta i spać pod dachem. To przyczyni się więcej, niż wszystkie konstytucje do ich lepszej przyszłości.

Indie w chwili obecnej fabrykują karabiny, broń maszynową, amunicję małokalibrową, sprzęt artyleryjski, mundury i obuwie, opony i tabor kolejowy. Razem około 20,000 różnych przedmiotów potrzebnych do prowadzenia wojny. Poza tym zwiększyła się wielokrotnie produkcja węgla, stali, materiałów pędnych lotniczych i samochodowych, drzewa i juty. Ostatnio dostarczyły Indie Wielkiej Brytanii 700 milionów worków jutowych.

Przemysł mechaniczny rozwija się również. W sierpniu ubiegłego roku wielkie zakłady lotnicze w Bombaju rozpoczęły produkcję myśliwców i bombowców. W Bangalore powstają warsztaty mechaniczne o zdolności produkcyjnej 15,000 pojazdów mechanicznych rocznie i kapitale zakładowym 25 milionów rupii.

Ale to uciszenie napięć wyzwoleńczych w Indiach było pozorne. Gdy wojna podeszła na bliską odległość do Indji żądania wybuchły z nową siłą. Muszą one być w jakiś sposób zaspokojone, jeśli Indie mają stanąć do obrony i obronić siebie, obronić w znacznej mierze Imperium. Zrozumiał to Londyn i wysłał do Indji Sir Stafforda Crippsa. Jego misja jest śledzona z napięciem przez cały obóz sojuszniczy. Od wyniku tej misji zależy los tego olbrzymiego kraju bogactw i sprzeczności. Od jej wyniku zależy w istotnej części los toczącej się wojny.

CZESŁAW JEŚMAN

* Por. artykuł "Indie w granicach Imperium" w nr. 12 "Polski Walczącej."

Książki o wojsku i wojnie

"Wrzesień w Polsce"

Dużą trudność sprawiło mi znalezienie takiego tytułu dla sprawozdania, który mógłby scharakteryzować książkę Lucjana Łagniewskiego* przy pomocy jednego frazesu. W poszukiwaniu odpowiedniego określenia przewinęły się przez myśl takie, jak: "Żołnierz w poszukiwaniu bitwy," "Na tyłach klęski." "O szczęściu żołnierskim i o braku szczęścia żołnierskiego," "Zmarnotrawiona ofiara."

Żadne z nich nie oddaje w sposób dostatecznie ścisły i pełny treści wspomnień kapitana Łagniewskiego. W każdym z nich tkwi ziarno prawdy, niektóre natomiast mogły by wprost krzywdzić autora, który przecież znalazł swoją bitwę w kampanii wrześniowej, a już w żaden sposób nie można klasyfikować jego wspomnień, jako obserwacji wyłącznie tyłów klęski. Może najbliższym prawdy byłby tytuł o szczęściu żołnierskim—czy też o braku tego szczęścia.

Dobrze się stało, że autor zdecydował się spisać i ogłosić swoje wspomnienia. Widzę w nich bardzo wartościowy dokument, który oświetla w sposób beznamiętny i bezstronny część zjawisk kampanii wrześniowej, które zostały pominięte, lub potraktowane powierzchownie w innych, opublikowanych dotychczas, pracach. Tyczy się to właśnie tej części wspomnień, które nazwałbym spojrzeniem od strony tyłów kampanii.

Książka kapitana Łagniewskiego wyjaśnia nam szczególnie pewien objaw, którego świadkami byliśmy w czasie kampanii wrześniowej, a w owym czasie nie umieliśmy ocenić w sposób właściwy. Przypominam tu żołnierzom, którzy mieli szczęście przebyć naszą kampanię w szeregu walczącej jednostki, spotykane przez nas codziennie na drogach naszego manewru odwrotowego, tłumy mężczyzn umundurowanych i nieumundurowanych, którzy posuwali się przed wojskiem na wschód. Samochodami, furmankami, na rowerach i pieszo, o głodzie i chłodzie, w kurzu wyschłych dróg, w dymie płonących osiedli i bomb lotniczych, dążyli z uporem i tęsknotą do o d d z i a ł u, do którego zostali powołani rozkazem mobilizacji, lub pragnęli zgłosić się ochotniczo.

Wszyscy ci niedoszli żołnierze porzucili bez wahania domy i rodziny, najczęściej bez opieki, najczęściej z perspektywą oderwania się na długie miesiące, na rozdzielenie przez okupację nieprzyjacielską. Porzucili wszystko i szli, gnani najwyższym obowiązkiem Polaka, w chwili gdy wróg wszedł w granice Rzeczypospolitej. Chcieli być żołnierzami. Chcieli się bić. Broń w ręku, brat-żołnierz w linii tyralierskiej po boku, radość walki, radość obowiązku spłaconego bez reszty—to miało być nagrodą za wszystko, co pozostawili na opiece losu, może już na zawsze.

W większości wypadków była to właśnie zmarnotrawiona ofiara. Na nic nie zdało się poświęcenie, na nic trud dalekiej wędrówki. Błyskawiczny manewr nieprzyjacielski, a później powstanie drugiego frontu, który ruszył szeroką ławą od wschodu ku zachodowi, sprawiły, że żołnierze ci nigdy nie zaznali łaski walki w szeregu bratnim, w wojnie o Niepodległość.

Dzieje takiego żołnierza, szukającego bitwy, pokazuje nam książka Łagniewskiego. Oficer rezerwy, nie podlegający mobilizacji, uzyskuje z trudem powołanie do armii i przydział. Udaje się na poszukiwanie swej dywizji, nie znajduje jej i przyłącza się do pierwszego napotkanego, walczącego oddziału polskiego.

Tam przeżywa jedyny dzień swojej bitwy, kolejno fantastyczną przygodę przyłączenia się do kolumny czołgów niemieckich, a później udział w szturmie batalionu naszej piechoty. Uśmiech żołnierskiego szczęścia trwał krótko. Po jednym dniu czynnego udziału w wojnie, pechowy kapitan zostaje ranny—i to prawdopodobnie przez własną piechotę.

Z tą chwilą udziałem kapitana staje się tułaczka po szpitalach, nieustająca ewakuacja co raz dalej ku wschodowi, aż do momentu wkroczenia wojsk rosyjskich. Rozpoczyna się miotanie w kotle, pomiędzy dwoma frontami, w poszukiwaniu żywych jeszcze ognisk walki. I wreszcie przedzieranie się z powrotem, do swoich, przez pierścienie wojsk okupacyjnych, najpierw rosyjskich, później niemieckich.

Wśród opublikowanych dotychczas wspomnień wojennych, książka Łagniewskiego wyróżnia się tym, że autor jest i całkowicie bezstronny i prawdomówny, nie ogranicza się wyłącznie do opowiedzenia nam wypadków męstwa, poświęcenia i wierności żołnierskiej. Nie pomija on milczeniem również epizodów "wstydliwych," jakie przecież musiały wydarzyć się nieuchronnie i jakie wydarzały się zawsze i wszędzie, w każdym kraju i w czasie każdej kampanii wojennej.

Serce rośnie, gdy się czyta o zajadłości i zaczepnym duchu polskich oddziałów walczących. O uśmiechu małego harcerza z ręką urwaną przez bombę. O straceńcach toczących beznadziejną walkę w lasach Lubelszczyzny. O poświęceniu, patriotyźmie i lojalności chłopa polskiego i ukraińskiego. Z przykrością i zawstydzeniem obserwujemy upadek ducha, bezwład i niegodne zachowanie się wobec nieprzyjaciela pewnych grup i osobników.

Z dużą plastycznością występują w książce dwa odmienne klimaty kampanii:

Zwartość, porządek, wiara w siebie i w dowódców, w obszarze oddziałów walczących, w bezpośredniej styczności z nieprzyjacielem.

I zjawiska wprost przeciwne na "tyłach," gdzie zaskoczenie operacyjne wyprzedziło w najbardziej absolutny sposób wszelkie planowanie i wszelki tok myśli, dając w wyniku bezwład, marnotrawienie sił żywych i materialnych, stwarzając ogólną dezorientację.

W dwu szczegółach nie podzielam stanowiska autora.

Raz—gdy wspomina on, że oddziały polskie czuły się jak "kosynierzy" wobec zmechanizowanych sił niemieckich. Jest zupełnie prawdopodobne, że autor spotkał się z takim określeniem we wrześniu 1939. Wspomnienia jednak pisane były w roku 1941, w czasie gdy już dawno wyjaśniło się, że to nie tylko my byliśmy "kosynierami." Wydaje mi się, że przytoczone słowa polskiego oficera wymagały komentarza, opartego już nie tylko na doświadczeniach kampanii francuskiej, ale i znacznie późniejszych teatrów wojennych.

W wypadku drugim chodzi o obniżanie wartości nieprzyjaciela przez pewnego rodzaju wyrzucanie mu, że wykorzystuje on w pełni swój sprzęt wojenny, unikając jednocześnie walki wręcz. Stwierdzenie tego faktu odpowiada zresztą najzupełniej prawdzie. Ale . . . idące jak najdalej wykorzystanie sprzętu wojennego celem uzyskania powodzenia jak najmniejszym kosztem, świadczy jedynie o ogólnym zastosowaniu rozumnej doktryny i o wysokim poziomie wyszkolenia nieprzyjaciela. Deprecjonowanie pewnych zjawisk może prowadzić do zupełnie niesłusznych, a więc szkodliwych wniosków. Poza tym—obniżanie wartości przeciwnika pociąga za sobą automatycznie obniżenie oceny wszystkich wojsk, przez tego nieprzyjaciela w szeregu operacji pobitych.

Właśnie dlatego, że oceniam książkę kapitana Łagniewskiego, jako dokument, który w przyszłości przyczynić się może do oświetlenia pewnych zjawisk kampanii wrześniowej, podkreślam te ostatnie momenty.

FRANCISZEK SKIBIŃSKI

*wyd. M. I. Kolin 1942.

Z Algieru do Szkocji



W afrykańskim obozie Kazbah Tadla



W afrykańskim obozie Kazbah Tadla

—"Czy pamięta pan kolega Ghica-Tei?" — zagadnął mnie młody żołnierz, przydzielony do pomocy technicznej w czasie przedstawienia.

Oczywiście pamiętałem i małą uliczkę tej nazwy, zgubioną wśród zaułków przedmiejskich w Bukareszcie i dom noclegowy dla uchodźców polskich, utrzymywany przez Y.M.C.A. Ściślej mówiąc ów "dom" to był właściwie dość duży pokój, zbudowany w rzadko spotykanym kształcie trójkąta, zawsze zapełniony prymitywnymi łóżkami, na których chwilowy odpoczynek znajdowali zbiegowie z obozów internowanych z obszaru całej Rumunii, zwanej w przystępie megalomanii: "Romania Mare." Kilka razy w ciągu naszego pobytu "Lwowska Fala," późniejsza Czołówka Teatralna W.P. występowała w tym trójkątnym pokoju. Wtedy też spotkałem tego młodego pancerniaka, który niedawno wraz z setką niemal towarzyszy przybył z piasków algierskich do szkockich wrzosowisk. Pod wpływem dawnych wspomnień w kącie świetlicy, stanowiącej "garderobę" popłynęło opowiadanie.

—"W czerwcu ubiegłego roku, kiedy we Francji wszystko było już skończone, pomaszerowałem wraz z gromadką kolegów na południe, bo taki był rozkaz. Nie wiedzieliśmy, jak długo wędrować nam wypadnie, ani jak się zachowają dawni sprzymierzeńcy Francuzi, chcieliśmy jednak za wszelką cenę wyrwać się z łap niemieckich, a potem połączyć ze swoimi. Niestety nie udało się. Po długich tarapatach i podróży o głodzie i chłodzie znaleźliśmy się w obozie . . . internowanych pod Marsylią.

To ci dopiero los! Ledwie człowiek wyprostował trochę kości, obolałe od leżenia na rumuńskich pryczach obozowych, a tu znowu to samo się powtarza we Francji. Znikła nadzieja szybkiego powrotu do swoich; zaczęliśmy znowu żyć ponurym życiem oddzielonych od świata. Pracować trzeba było ciężko, a żywiono nas podle, ale nienajgorzej jeszcze było z początku, póki szacunek nas otaczał. Bywało francuski "*poilu*," albo i oficer podejdzie do którego z naszych i rękę mu ściska powiadając, że Polacy to dzielny naród, "*bons soldats*."

W miarę, jak czas upływał zaczęło się robić ciasno w naszym obozie: Polaków przybywało co raz więcej. Zwożono teraz dopiero odnalezionych "leśnych ludzi,' pakowano za druty przycupniętych po winnicach i folwarkach, zbiegłych z niewoli niemieckiej, zawróconych z granicy hiszpańskiej. . . W długie jesienne wieczory słuchaliśmy opowiadań o przygodach tych zawziętych obieżyświatów, którzy zresztą o niczym innym nie myśleli, jak tylko, aby jak najprędzej wziąć nogi za pas.

Niektórym udawało się. Francuzi nawet nie bardzo pieklili się, gdy ten i ów nagle zniknął z baraku, tylko kiwali z politowaniem głowami nad nierozwagą polską, zawsze guza szukającą. "Pchają się wasi chłopcy do tej Anglii, ale jej dni są już policzone, bo skoro Francja nie dała rady, a Hitler się zawziął, to już tam pewnie z Londynu nie zostanie kamienia na kamieniu"—mawiał dobrodusznie jeden z naszych szefów.

Tymczasem z radia zaczęły płynąć inne wiadomości: jak samoloty niemieckie zamiast na lotniskach angielskich lądowały na dnie Kanału, jak nasi lotnicy oczyszczali niebo nad Anglią ze szwabskiej szarańczy, jak



Muzykanci arabscy

nasze okręty, dawno już "zatopione" w komunikatach niemieckich, uwijały się po morzach. Podnosili się na duchu i Francuzi.

Przyszła późna jesień, potem zima. W nieopalanych barakach co raz trudniej było żyć, bo i stosunki z Francuzami się popsuły. Kiedy Niemcy swoim obyczajem rozpoczęli rabunkowe rekwizycje żywności, nastroje zrobiły się takie, że znowu zaczęto na nas koso patrzyć, a niedługo odżyła znowu stara bujda o nierozsądnym polskim oporze w sprawie Gdańska i "korytarza," który spowodował wojnę i wszystkie związane z nią udręki. Już nam i na palce uważniej patrzano, wychodne skasowano zupełnie, a raz, kiedy słuchaliśmy audycji Wolnych Francuzów z Londynu, wpadł oficer i zeźlił się okropnie, grożąc zamknięciem świetlicy. A właśnie w tej świetlicy, prowadzonej przez Polski Czerwony Krzyż, skupiało się nasze prawdziwe życie: tu schodziliśmy się na pogadanki i wieczornice, tu odbywaliśmy lekcje obcych języków, słuchali nowin radiowych, redagowali gazetkę obozową.

W miarę, jak szkopy rozgospodarowywali się we Francji, nasz los się pogarszał; przebąkiwano nawet, że Niemcy mają nas zabrać i wywieźć do swoich obozów pracy. Jakoś jednak do tej ostatecznej biedy nie doszło, ale zarówno ja, jak i moi koledzy, ucieszyliśmy się bardzo, kiedy nam powiedziano, że pojedziemy do Algieru.

No, i pojechaliśmy. Lepiej się nam wiodło, mróz nie dokuczał, jedzenie było lepsze, może dlatego, że żywność bardzo tania w tamtych stronach, a ponieważ z Arabami żyliśmy w wielkiej przyjaźni, więc się niejeden dobrze pożywił przy okazji orientalnymi przysmakami w tubylczym domu. Szwabska propaganda widać działała i tutaj, bo wielu Arabów miało bardzo dziwne wyobrażenie o tym, co się



Na rozstaju dróg

dzieje na świecie, o "szlachetnym, wielkim Adolfie," ale i nas lubili, powtarzając przy każdej sposobności, że każdy Polak jest "*mezien sahabi*" /dobry towarzysz/. Dopiero, kiedy zaczęliśmy im pakować do rozumu, co to za dranie są Niemcy, niejeden Arab za głowę się brał ze zdumienia i zaklinał się na Proroka, że "Lechistan" musi być wolny, a skoro nie może być inaczej, to niechże polscy "*sahabi*" wyłomotają rzetelnie "szlachetnego Adolfa" i jego "wojowników."

Tak rozwijała się i wzrastała przyjaźń polsko-arabska w dalekim Algierze. Minęła zima; przeszły wiosna i lato, zbliżała się już znowu jesień, kiedy przyszła dla nas chwila wybawienia. Nie mogę dzisiaj mówić o tym, jak się to wszystko stało ,ale pewnej ciemnej nocy, ja i 53 moich kolegów znaleźliśmy się nad brzegiem morza. Darowaliśmy Arabom na pamiątkę nasze ubrania i drobiazgi, uścisnęliśmy dłoń młodemu francuskiemu kapralowi, który nam powiedział: "Do zobaczenia na wolności"—i tylko w spodenkach kąpielowych rzuciliśmy się w morze.

Płynęliśmy blisko kilometr, bo tam dopiero czekał na nas kuter rybacki, niewielki 4-tonnowy stateczek. Owinęliśmy się kocami i stłoczeni do niemożliwości, bo razem z załogą było nas 58 chłopa na tej łupinie, rozpoczęliśmy podróż w nieznane. Cztery dni i cztery noce płynęliśmy po morzu, aż zerwała się wichura potężna. Nasz kuter wynosiło w górę a potem rzucało w dół tak, że zdawało się nam, iż lada chwila znajdziemy się na dnie.

Straciliśmy też trochę orientację i dlatego nad ranem przyuważyli nas Hiszpanie i zatrzymali. Kiedy statek z "*carabinieri*" podpłynął do nas myślałem w pierwszej chwili, że to już koniec nadziei, i że na odmianę przyjdzie gnić w hiszpańsko-osiowym kryminale. Ale "rybak", który nas wiózł, spokojnie oświadczył, że jesteśmy rozbitkami ze storpedowanego statku angielskiego i włos nam z głowy spaść nie może. Kręcili Hiszpanie głowami, ale nas puścili, tylko ich starszy oficer zauważył, że to dziwna rzecz, iż "rybak" włada kilkoma językami i jest taki wyszczekany.

Popłynęliśmy tedy dalej. Pogoda się poprawiła, chwiejba zelżała nieco, a wkrótce zauważył nas brytyjski samolot patrolowy tak, że szczęśliwie wylądowaliśmy w Gibraltarze. Dopieroż nas Angliczanie wzięli w gościnę, obsypali papierosami, ubrali, nakarmili i bardzo się cieszyli razem z nami, że udało się nam wyrwać z opałów.

Odpoczęliśmy w tej wspaniałej fortecy, co się zowie, a potem ruszyli w dalszą drogę. Wiozły nas polskie okręty. Myślałem, że bractwo oszaleje z radości, chodząc po polskim pokładzie. Przecież to terytorium polskie. Przecież na polskim okręcie, to tak jakbyśmy byli w Kraju!"

Przerwaliśmy rozmowę, bo zbliżał się czas rozpoczęcia przedstawienia, i kolega, ściągnąwszy kurtynę, zniknął na widowni. Wyszliśmy na scenę; popłynęła polska piosenka. Z widowni patrzyły na nas młodzieńcze, rozradowane oczy, uśmiechały się spalone afrykańskim słońcem twarze. Żołnierze I dywizji, czarnej brygady, podhalańskiej i innych oddziałów z Francji, dołączyli do bratnich szeregów na szkockim wybrzeżu.

LUDWIK BOJCZUK
Zdjęcia Stefana Włodarczyka



Obiad u Araba w Kazbah Tadla, luty 1941 r.

Człowiek Tatr i Bałtyku

Wiadomość z Kujbyszewa, z naszej ambasady, stwierdza fakt zgonu w marcu r.ub. ś.p. gen. bryg. Mariusza Zaruskiego, w epoce przedmajowej—adiutanta generalnego Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Stanisława Wojciechowskiego. Gen. Zaruski zmarł w Chersoniu, dokąd wywieziony był ze Lwowa w roku poprzednim. Przeżył lat 74, nie doczekawszy tej poprawy stosunków, jaka na terenie Rosji Sowieckiej dla wygnańców i więźniów naszych nastąpiła.

Ta wiadomość nie wyczerpuje dla "Polski Walczącej," pisma wojskowego, obowiązku szerszego wspomnienia o zmarłym generale. Przez całe swoje życie bowiem był człowiekiem walki o Polskę, człowiekiem idei. Zaś w tej walce męskie swoje lata służbie wojskowej poświęcił.

Z wykształcenia i zawodu był marynarzem i karierę morską rozpoczął w rosyjskiej marynarce handlowej. Nie mógł jednak pozostawać poza Polską i jej życiem. Porzuciwszy marynarkę, wziął udział w ruchu walki czynnej, co zaprowadziło go do szeregów legionowych. Marynarz przedzierzgnął się w kawalerzystę, zamiłowanego oficera, który broń swoją gorąco ukochał. W kawalerii odbył wojnę światową i wojny polskie, pułkiem ułańskim następnie dowodził i z proporczykami na kołnierzu doczekał się wężyków generalskich. Niezależnie od uczuć patriotycznych, jakie nim kierowały, żył w nim wiecznie młody temperament sportowy. Nie wyczerpywała tego temperamentu służba marynarska i kawaleryjska.

Ś.p. Mariusz Zaruski był jeszcze świetnym narciarzem, entuzjastą gór i sportu wysokogórskiego. Dla rozwoju narciarstwa w Polsce położył wielkie zasługi, nie umiał bowiem pasjonować się czymkolwiek, nie krzewiąc szeroko umiłowanej idei i nie propagując jej społecznie. Ten instynkt społeczny czynił zeń sylwetę bardzo charakterystyczną, opierającą się przywarom wieku i długo młodą. Wczesna siwizna dodawała mu tylko wdzięku.

Zasłużony działacz w Lidze Morskiej i Kolonialnej, jako starzec już żeglował po morzu, kierując załogą jachtu. Narciarstwo usiłował zaszczepić nawet w kawalerii, i podkomendni mu ułani niemało się zdziwili, kiedy ujrzeli swego dowódcę, przybywającego przed front pułku na nartach, za konnym zaprzęgiem. Mariusz Zaruski, kiedy wierzył, wierzył głęboko i własnym przykładem usiłował przekonać wszystkich o słuszności swej wiary.

Czynił to również słowem pisanym i pozostawił po sobie sporą puściznę pisarską, prozę i wiersze. Beletrystyka jednak nie wyczerpywała jego twórczości, bo wypowiadał się również w zakresie sportów, przez siebie umiłowanych.

Był to niewątpliwie człowiek niepospolity, który umiał przekonywać, a nawet porywać za sobą. Że zaś jednocześnie był dobry i życzliwy dla ludzi, co—jak wiemy—nie jest cechą codzienną, miał licznych przyjaciół w wojsku i poza wojskiem. Oddawali mu sprawiedliwość nawet ci, którzy nie zgądzali się z nim w ocenie zjawisk politycznych. Do poczucia sprawiedliwości i honoru gen. Zaruskiego można było zwrócić się zawsze i zawsze liczyć na przyjazne echo.

Polskę kochał bardzo głęboko i z tą religijną czcią, jaką dla niej mieli ludzie pokolenia urodzonego i wychowanego w niewoli. To też głęboko musiał odczuć moment klęski narodowej na schyłku swego żywota, ciężej zapewne, niż własną niedolę.

Gdy po wojnie będziemy gromadzili w kraju prochy tych bojowników o wolność, których szczątki odnaleźć będzie można, powinna wrócić na cmentarz wojskowy i trumna gen. Zaruskiego. Zasłużył sobie na to całym swoim życiem, w którym myślą przewodnią była ojczyzna i jej chwała.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Bez black-outu

Otóż i moja pieśń poświęcona kobiecie polskiej na emigracji. Śpiew ten będzie bardzo prosty—w myśl zapowiedzi—niemal jak malgaska "Tsiamunana," czyli pieśń, w której wygarnia się całą prawdę. Inaczej w tej sprawie, jak we wszystkich innych, śpiewać nam nie wolno. Odpowiedzialność dzielimy bowiem wszyscy.

Zacznę tę pieśń tam, gdzie urywa się pamięć postaci naszej ukochanej kobiety, pozostawionej w Kraju, gdzie gubi się w wichurze dziejowej ciepło ostatniego uścisku rąk bardzo drogich, jedynych. Zacznę na granicy we wrześniową noc.

Tam bowiem w mroku, z paniki i masowych rozkazów ewakuacyjnych, urodził się straszliwy w swoim tragiźmie cień pani polskiej, przekraczającej granicę w limuzynie urzędowej z pieskiem na kolanach. Cień ten jak koszmar uparty, ściga do tej chwili każdą kobietę polską, pada plamą na najniewinniejsze ofiary. Z tego cienia właśnie padają refleksy, które oślepiają także wielu z nas. Dlatego nie łatwo zdobyć się na ocenę poświęceń, trudów i wielu cennych prac kobiety polskiej na obczyźnie.

Najpierw jednak rozprawmy się z cieniem. Nie możemy pozwolić, by straszliwe dziedzictwo "zaleszczyckiego bagażu" obciążało każdą Polkę na emigracji. Spalmy te limuzyny w naszych myślach, pieska puśćmy luzem w pole—nie zginie napewno we Wielkiej Brytanii—zostanie tylko ona: kobieta polska, ofiara paniki, może ofiara pozycji urzędowej swego męża, albo jedna z wielu ofiar nadmiernej gorliwości ewakuacyjnej pana wojewody czy starosty. Jest bardzo nerwowa, przewrażliwiona, pesymistka, więc starajmy się rozprawić z nią jak gentlemeni, staropolskim obyczajem, nie według nowych zasad towarzyskich, nabytych na tutejszych dancingach, ale z szacunkiem należnym kobiecie, z sienkiewiczowskim ukłonem w stronę "białogłowy."

Nie zapominajmy przy tej rozprawie, że niejedna z nich w tej dziejowej burzy zatraciła kontakt z mężem, dziećmi, rodziną, że niejedna przeżywa wielką tragedię, że niejedna straciła zdrowie. A teraz panowie do takiej kobiety polskiej, rzuconej na obcą ziemię, podejdźmy z zamiarem uczciwej, bezwzględnej rozmowy, ale bez złośliwego uśmieszku wyższości, podejdźmy nie jak do zawady, niepotrzebnej na tutejszym terenie, ale jak do człowieka, na którego współpracę liczymy, jak do człowieka może słabszego, może samotnego, a napewno, jak i my, bardzo tęskniącego do własnej ziemi. I porozmawiajmy. Tak każe sprawiedliwość. Tak każe nam polska tradycja. To byłby prolog mojej "Tsiamunany" bardzo patetyczny, ale zato może trochę . . . ludzki.

Po tym prologu zaczyna się dopiero "akcja." Kobietę polską na emigracji, na terenie tej wyspy, spotykałem w ogromnie różnych warunkach: jedną na schodach szpitala z kubłem i szczotką w ręce przy szorowaniu podłogi, drugą w domu brytyjskim na billetingu, przy ciepłym kominku, w wygodnym fotelu, trwoniącą czas pomiędzy kinem a brydżem, obsługiwaną przez dosłownie tyranizowaną gospodynię szkocką lub angielską. Ta pierwsza ze szpitala miała liczne kopie mniej lub więcej udane w kantynach, świetlicach, urzędach. Ta druga sprzed kominka miała i ma naśladownic co niemiara.

...Widziałem także bardzo różną postawę mężczyzn wobec wzorcowych niemal tych dwóch typów pań polskich. Jedni z nas w niezrozumiałej głupocie ciągle pogardliwym uśmieszkiem obrzucają każdy mundur kobiety polskiej: świetliczarki, czy siostry Czerwonego Krzyża, równocześnie kalumnie ciskając na kobietę, typu nr. 2, trwoniącą czas w fotelu. Inni znowu z uporem maniaków szkodzą sprawie, starają się doszukać w każdej kobiecie polskiej smugi cienia pani w limuzynie i z pieskiem na kolanach.

A na ogół jedni i drudzy ciskają kłody pod nogi uczciwie i ciężko pracującej Polce, może w przystępie psychologicznie zrozumiałego podświadomego żalu, który nasuwa im myśl: bliska tobie kobieta została w Kraju, a ta oto pęta się tutaj. Tym się kierować nie można. Nie wolno jednak tolerować jaskrawego nieróbstwa kobiety, dumającej przed kominkiem brytyjskim o pierwszej partii brydża w wolnej Polsce.

Trzeba i nam w tej "Tsiamunanie" pośpiewać trochę o sobie. Ucałujmy z czcią spracowane ręce kobiet polskich ze szpitali, sióstr pełnych poświęcenia, uśmiechnijmy się do świetliczarki, nie robiąc na jej temat głupawych, niegodnych żołnierza, dowcipów. Oceńmy sprawiedliwie wysiłek kobiety, pracującej w biurach, w związkach i kołach kobiecych, które nie tylko mają wiele sekcji, ale naprawdę coś robią, a dopiero po tym wszystkim wydajmy walkę bezwzględną paniom Nicnieróbskim, Brydżalskim, Wysypialskim, podrywającym dobre imię Polki na tutejszym terenie. Nie wolno nam potępiać w czambuł wszystkich Polek, bo obrażamy tym nasze matki, żony i siostry. Starajmy się na emigracji właśnie wychować w twardej szkole życiowej typ kobiety, która napewno przyda się bardzo w Kraju w pierwszych latach trudnej surowej wolności.

To byłaby część pierwsza tej pieśni malgaskiej, tętniąca nadzieją i w miarę wysiłków mego pióra . . . zrównoważona. Nie zapominajmy jednak, że "Tsiamunana" to pieśń żywiołowa, że prawda ponosi śpiewaka, pióro zaczyna tańczyć w takcie zgoła niespodziewanym, a raczej w spodziewanym . . . nietakcie. I w ten sposób znaleźliśmy się na progu części drugiej tej pieśni szczerości bezwzględnej. Nie jedna z "białogłów" nazwie ją napaścią, ale ona właśnie napewno po cichu, bardzo cichutko, przyzna, że ta część "Tsiamunany" jest co najmniej tak prawdziwa, jak uczuciowo ludzki starał się być jej prolog.

Na początek uchylmy zasłonę Polki p r a c u j ą c e j. Każdą prawie współpracę w ośrodkach kobiecych zatruwają ciągle do tej pory małe ambicyjki, rozkładają i obezwładniają intrygi histeryczek o nieopanowanych nerwach. Wiemy, że nerwy te są słabe, ale są granice wybaczalności i wyrozumiałości. Dostałem do tej pory wiele listów od kobiet i mężczyzn w związku z zagadnieniem roli Polki na emigracji. Przewija się przez te listy ciągle nuta wielkiej tęsknoty do czystej atmosfery pracy, do zbudowania trwałych podstaw dla codziennej, rozumnej pozbawionej jadu i zawiści współpracy pomiędzy Polkami. Oddaję głos jednej z pań.

"Poinformowano mnie, że ma być stworzona służba pomocnicza kobiet Polek na wzór angielski. Jak będzie mogła taka organizacja dobrze pracować, jeżeli stosunek naszych pań do jakiejkolwiek pracy jest tak potwornie niewłaściwy i dziwaczny? Przecież tak mało my Polki robimy, że jak znajdą się dzisiaj dwie, które coś robią, to zamiast pomóc sobie, muszą zazdrościć tego, że jedna z nich robi coś lepiej, czy więcej. Dlaczego nie możemy się jeszcze nauczyć od Angielek właściwego stosunku do pracy, sumienności, pogody, zamiast tej ciągłej pozy jakiejś "łaski," którą się wszystkim robi? Myśli te dręczą mnie strasznie. Ostatecznie tydzień temu zgłosiłam się jako ochotniczka do pomocniczej służby kobiet Polek. Czy nie zrobiłam fatalnego błędu? Czy nie było lepiej pójść do brytyjskiego A.T.S. i nie mieć do czynienia z rodaczkami? Jak będzie wyglądała taka organizacja polska skoro dwie Polki nie potrafią, albo nie chcą współpracować ze sobą, albo też robią to w sposób tak potworny obrzydzając życie sobie i innym?"

Smutny głos, ale tak prawdziwy, że aż boli. Całą grozę tej prawdy zrozumiemy dopiero, biorąc pod uwagę fakt, że przytoczone zdanie dotyczy kobiet codziennie pracujących. A teraz coś niecoś o paniach, pracujących od czasu do czasu, dorywczo. Panie te zrzeszone w koła czy kółka, podzielone na komisje, sekcje i podsekcje, kontynuują nawet w formie czysto zewnętrznej smutną historię polskiego banału i . . . tradycje słynnej legendy "konduktorowej wąskotorowej."

Tytuł i stanowisko męża nie mają i mieć nie powinny nic wspólnego z funkcjami jego żony, zjawiającej się do odegrania wiekopomnej roli w takim czy innym związku. Konkretnie i bez owijania w bawełnę: jeżeli w danym kole kobiecym okazała się utalentowaną organizatorką pani pułkownikowa a mniej zdolną pani porucznikowa, wypowiadam się bezwzględnie za panią pułkownikową—przepraszam—za ż o n ą p u ł k o w n i k a. To jest właściwy tytuł. Jeżeli natomiast żona porucznika będzie zdolniejsza i bardziej pożyteczna dla związku, powinna objąć przewodnictwo, zaś żona pułkownika niepowinna wychodzić z trzaskaniem drzwiami z tego posiedzenia, na którym porucznikowa "czołgowa" zostanie prezeską stowarzyszenia, a pułkownikowa "przeciwlotnicza" tylko zastępcą skarbniczki.

Pomyślcie nad tym mądre, miłe panie, czy bezczynnych, czasem bardzo godnych, pełnych dobrej woli, prezesek "w stopniu" żony majora czy kapitana nie zastąpi z powodzeniem zdolna, organizacyjnie wyrobiona żona chorążego lub sierżanta. Pomyślcie: zaletą demokracji jest inwencja. Nasza armia jest demokratyczna, nasze panie muszą o tym pamiętać. Znam osobiście przemiłą żonę generała, która, gdy ze starego nawyku, tytułuję ją tutaj na obczyźnie, "panią generałową" dodaje żartobliwie z uśmiechem: "motorowa, wąsko-torowa." Ta, napewno nie obrazi się, gdy przewodnictwo jakiegoś koła, do którego ona należy, obejmie żona porucznika, a może "kapralowa cenzusowa," jeżeli tak będzie lepiej, jeżeli tak będzie pożyteczniej. Ta błędna tradycja "rycerska," to spływanie blasku mężowskiego na żonę, powinno było w naszej sytuacji dawno się skończyć, tym więcej, że w naszych warunkach robi to dzisiaj jedyne wrażenie: komizmu, czasem nawet tragikomizmu.

Oto tylko lekko, powierzchownie naszkicowane dwa zagadnienia, ciągle jeszcze z życia pań pracujących. A teraz zejdźmy do sfery nieróbstwa i lenistwa. Wkraczam w tę dziedzinę z dużą dozą odrazy, uważając postawę pań polskich leniuchujących za najbardziej szkodliwą, epidemicznie szerzoną od strony kuchni angielskiej czy szkockiej anty-propagandę spraw polskich na tutejszym terenie. Nie będzie przesadą, jeżeli stwierdzimy, że taka pani wysiłek naszych lotników, wrażenie Tobruku umniejsza /tak, tak!/ wobec swoich brytyjskich gospodarzy wstawaniem z łóżka o 12 w południe, swoimi chimerami i grymasami, praktykowanymi bez żenady w domu szkockim czy angielskim, rzucającym się w oczy nieróbstwem w czasie największego nieraz wysiłku miejscowych rodzin. Posłuchajcie panie. Oto pewne fakty z dwóch listów: księdza kapelana i kapitana-obserwatora z dywizjonu bombowego.

Ksiądz: "W jednym garnizonie było naszych pań 83 /słownie: osiemdziesiąt trzy/. Brytyjski Czerwony Krzyż zwrócił się z apelem o pomoc w pracy. Do pracy zgłosiło się naszych pań . . . 5 /słownie: pięć/. A było ich wszystkich 83! Odliczmy od tego matki, które musiały się zajmować dziećmi, zwłaszcza w wieku szkolnym. Tych matek było 12. A więc rachunkowo wyglądałoby to tak: 83 minus 5, równa się 78; 78 minus 12, równa się 65. Dlaczego nie 66? Bo jedna z tych pań nie mieszkała w tym garnizonie, należała tylko "ewidencyjnie," lecz mieszkając gdzie indziej zrobiła sama z dostarczonej jej wełny 34 swetry dla jeńców brytyjskich, za co provost tej gminy przyszedł z delegacją uroczyście jej za to podziękować. Panie brytyjskie widząc nieróbstwo naszych niektórych pań, zaproponowały, że dadzą wełnę, postarają się o lokal, o maszynę, że . . . na skarpetkach zrobionych, będą umieszczone na karteczce nazwiska pań polskich, aby jeniec brytyjski wiedział, że to zrobiła ręka patriotycznej Polki. Skutek był ten sam. Nie zgłosiła się ani jedna więcej ponad tych pięć. Ale zato codziennie przed i popołudniu, można było widzieć nasze niektóre panie w kawiarniach, "wypazurzone" na czerwono, bo to przecież chodzi o "propagandę" Polski. Trudno już dalej pisać, bo maszyna odmawia posłuszeństwa . . ."

Znam ten ból, Księże Dobrodzieju, moją maszynę muszę często naoliwiać, a po tej "Tsiamunanie" dam ją do odkurzenia. Z kolei oddajemy głos panu kapitanowi-obserwatorowi. Dobry obserwator!

Lotnik: "Mówią, żeby nie żenić się z Angielkami, ale przecież gorsze głupstwo palnie ten, kto ożeni się z Polką-emigrantką, przybyłą po roku 1939 do Anglii. Rozzuchwalone, rozpolitykowane, pełne pychy, nie dadzą nic, albo bardzo mało z tego, czego by Polak pragnął. Mówią one często: "Nauczyliście się nas szanować i cenić teraz widząc w tym świecie inne kobiety. Macie więcej szacunku dla nas." A kiedy to Polak nie miał szacunku dla kobiety? Chyba najwięcej ze wszystkich narodów? Jedna z pań polskich, której mąż jest w niewoli niemieckiej, powiedziała niedawno: "Mam pójść na kurs X czy Y., aby tam myć podłogi, albo pracować za 20 funtów, gdy mój kapelusz kosztuje 7 funtów?" A na przykład na naszej stacji są panie bez dzieci, bez pracy i nie pomogą. Gdy my lecimy, lub wracamy w nocy z lotów bojowych, przeważnie żona oficera angielskiego stara się nam podać filiżankę gorącej kawy. Pań naszych nie zobaczysz. Przed tym była choć jedna Polka /dentystka/, która często w noc wiozła ciepły napój na lotnisko, a czasem i ciepłym słowem odezwała się do człowieka. S ł o w o: P o l k a, to wielkie słowo ale Polka taka, jaką każdy z nas zostawił w Kraju, a nie taka, jak teraz obserwuję czasem na obczyźnie, nie taka, która nigdy prawie nie ma słowa ciepłego, a raczej cierpkie i zgryźliwe. Plotki, ploteczki zajmują wiele z nich, choć dla niektórych pań mam dużo szacunku i słowa uznania za ich pracę."

Dwa gorzkie akty oskarżenia, operujące faktami suchymi, ale wstrząsającymi. Rzecz charakterystyczna i ksiądz i lotnik, jak każdy z nas, dopuszczają wyjątki. Nikt mimo ciężkich oskarżeń, nie uogólnia sprawy. Ksiądz zachował w pamięci 34 sweterków tej jednej pani, lotnik wspomina z wdzięcznością dentystkę, czyli po tej części drugiej "Tsiamunany" stajemy znowu przy tezie prologu:

Szanować, pomagać, oddawać należną cześć Polce pracującej, Polce pożytecznej. Nie lekceważyć jej wysiłków, nie zrażać do pracy. Natomiast nie tolerować pod żadnym warunkiem, ale tępić i piętnować lenistwo szkodliwe paniusi Nicnieróbskiej, jako pasożytującej na tym terenie z uszczerbkiem dla naszej sprawy.

Jeden z korespondentów podaje nawet wcale pomysłowe rozwiązanie tego ostatniego zagadnienia. Proponuje drobną zmianę adresu dla tych pań, które żyją tu w komforcie, bezmyślnie, nieużytecznie: Semipałatyńska Obłast, Łaguszkij rejon, Sowchoz Myńtułak, ferma nr. 3.

Polki pożyteczne, zacnie pracujące, powinny we własnym interesie zastanowić się nad przeprowadzeniem tego pomysłu dla ochrony własnej pracy i dobrego imienia kobiety polskiej na emigracji, by koszmar damy z pieskiem w limuzynie nie odżył na wyspie brytyjskiej w nowej postaci: damy "kominkowo-fotelowej," "wypazurzonej" na czerwono, czekającej na nową plotkę lub nowego robra.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

Szanowny Panie Redaktorze,

Powtarzamy w kółko do znudzenia, że mamy wojnę totalną, a stosujemy organizację "model 1920"—i to nie najnowszego wydania. Chcę tu zwrócić uwagę na jedną tylko dziedzinę: prasę i propagandę.

Chyba nikomu znaczenia prasy—mówiąc ogólniej służby informacyjnej—w czasach wojennych tłumaczyć nie trzeba. Nie będziemy tu poruszać ogólnego problemu—znaczenia prasy dla polityki wojennej. Ograniczymy się do jednego odcinka, a mianowicie znaczenia, jakie posiada służba informacyjna, uzgodniona z życiem armii—*wojskowa służba informacyjna*, która powinna w życiu nowoczesnej armii posiadać charakter już nie "służby," ale "broni."

Po pierwsze: W czasie wojny całe społeczeństwo zainteresowane jest w tym, by jak najszybciej otrzymać ścisłe wiadomości wojenne. Od takich sprawozdań zależny jest nie tylko moral "frontu wewnętrznego," ale również opinia krajów obcych może znaleść się pod wpływem naszych własnych wiadomości frontu. Oto pierwsza strona tego zagadnienia: SŁUŻBA SPRAWOZDAWCZA Z WOJSKA.

Rozległa ta dziedzina nowoczesnego prowadzenia wojny leży całkiem odłogiem. Służbę lekarską uważamy za zjawisko normalne w wojsku. W niektórych armiach istnieją nawet oficerowie służby hygieny. Są inne szeroko rozbudowane gałęzie administracji armii. Ale gdzież jest—w r. 1942—Wojskowy Korpus Dziennikarski, Wojskowa Służba sprawozdawcza, czy jak to chcemy nazwać?

Powszechną jest opinią, że maksimum "wysiłku," na jakie stać wojsko jest pozwolić kilku dziennikarzom na pełnienie funkcyj "sprawozdawców" wojennych, lub też zorganizować "wydział prasowy" przy ministerstwach wojny czy lotnictwa. I to wszystko.

Jest to fakt znany, że dla wielu oficerów taki "pętający" się korespondent wojenny, cywil, jest tylko źródłem niezliczonych kłopotów. Są oni szczęśliwi, jeżeli ten korespondent jak najszybciej wyniesie się z ich odcinka. Dodać jeszcze trzeba, że korespondent wojenny nie będący żołnierzem, nie mający nawet podstawowego wyszkolenia wojskowego popełnia często gaffy czysto techniczne i wypowiada poglądy, świadczące o zupełnym nieuctwie w sprawach wojskowych. To również wprowadza zamęt u czytelników.

Służba "sprawozdawcza" zaś wojskowych biur prasowych ogranicza się przeważnie do funkcyj cenzorskich, znakomicie opóźniając dostarczanie prasie wiadomości. Jeżeli uwzględnimy jeszcze do tego znaną powszechnie manię "tajemnicy wojskowej"—nie będę o niej pisał, każdy wie conajmniej o jednym kwiatku z tej niwy, tak wspaniale opisanej w "Bellonie"—to mamy mniej więcej pełny obraz.

Rzućmy teraz okiem na drugą stronę zagadnienia: "SŁUŻBĘ SPRAWOZDAWCZĄ INFORMACYJNĄ DLA WOJSKA." Innymi słowy: jak dostarczyć żołnierzowi wiadomości.

Słyszę zarzut: Przecież żołnierz może sobie kupić gazetę, jaką chce, ma kantyny i świetlice obficie zaopatrzone w czasopisma.

Tak. Ale system ten działa tylko połowicznie, w miastach—i to w okresie "wyczekiwania," przez jaki przechodzimy. Dla poparcia mego twierdzenia, że system ten działa tylko "połowicznie" niech mi wolno wskazać na fakt, że nasze wojsko, mając "Dziennik Polski," mogąc dalej kupować na miejscu gazety angielskie, dąży do posiadania "własnych" brygadowych, oddziałowych a nawet pododdziałowych, pism codziennych, hektografowanych, lub też pisanych na maszynie "gazetek ściennych."

A cóż dopiero, jeżeli armia znajdzie się w polu. "Normalny" sposób kupowania, czy dostarczania pism odpadnie—zwłaszcza w wojnie ruchomej. Na odległym teatrze wojennym nawet odbiór własnych komunikatów i dzienników radiowych może napotkać na trudności, a wówczas żołnierz będzie narażony na wchłanianie informacji obcych, wrogich, będzie podatnym elementem dla szeptanej propagandy, stanie się abonentem słynnej agencji "j.p.p.p."—jak powiedziała pewna pani.

Jedyną drogą wyjścia jest posiadanie własnego wojskowego zespołu ludzi, obeznanych z tą fachową robotą /dyletantyzm jest tu również niebezpieczny, jak na każdym innym odcinku pracy sztabowej/—ludzi, którzy równocześnie nie są wojskowymi ignorantami.

Nie będę tu usiłował kreślić jakiegoś "planu organizacyjnego," chcę tylko powiedzieć, że ludzi do takiej roboty, fachowo prowadzonej w armii polskiej nie zabraknie. I jest rzeczą niezrozumiałą, dlaczego dziennikarze, radiowcy itp. robią /i muszą robić/ wszystko, tylko nie to, do czego mają talent i przygotowanie.

A teraz druga strona medalu: istnieją dwie armie, wykorzystujące w pełni tę nowoczesną, i równie skuteczną jak tanki i samoloty, broń: Niemcy i Rosja.

W grubszych zarysach organizacja niemiecka podobna jest do systemu, za pomocą którego gdzieindziej organizuje się służbę zdrowia. Zmobilizowano dziennikarzy, dając im odpowiednie rangi, przydzielono ich bądź pojedyńczo do poszczególnych jednostek, bądź też na wyższych szczebłach stworzono t.zw. *Propagandakompanien*. /Trzeba przyznać że mobilizację i odpowiednie wykorzystanie sił dziennikarskich—w najszerszym tego słowa znaczeniu Niemcy mieli ułatwione wskutek upaństwowienia prasy./

Obydwie służby o których mówimy tj. zarówno służba informacyjna dla armii, jak i służba informacyjna z armii działają sprawnie. Gdziekolwiek żołnierz niemiecki się znajduje, otrzymuje do rąk swą własną, świeżą i "dobrze zrobioną" gazetę. Z drugiej zaś strony przyznać musimy, że niemiecka służba sprawozdawcza z frontu bije wszystkie rekordy szybkości, zalewając cały świat sprawozdaniami, reportażami, fotografiami, filmami, pogadankami radiowemi i t.d.—i wszystko to z fachowego punktu widzenia musimy nazwać porządną robotą, wykonaną przez wykwalifikowanych ludzi. Co tu dużo mówić, jeszcze dzisiaj prasa angielska—nie mówiąc już o amerykańskiej—musi posługiwać się materiałem reportażowym /głównie fotograficznym/ niemieckim.

Ciekawym szczegółem, rzucającym światło na rozbudowę organizacji niemieckiej jest fakt, że w czasie jednej tylko kampanii polskiej poległo 23 niemieckich "oficerów prasowych" w czasie pełnienia służby sprawozdawców dziennikarskich, radiowych, czy fotograficznych lub filmowych przy jednostkach bojowych lub na pokładzie samolotów.

Także armia sowiecka poświęcała dużo uwagi tym zagadnieniom, chociaż tam sprawa ujęta jest nie tyle z punktu widzenia czystej "techniki," ile wychodzi z przesłanek politycznych. Przypomnijmy, że "gazety ścienne"—są pomysłem bolszewickim. W armii zaś propaganda prowadzona jest głównie przez politruków—instytucję niebardzo popularną u oficerów liniowych.

Kilka tych uwag, dość ogólnikowo rzuconych, wywoła może dyskusję i zainteresowanie dla tej, niestety nieistniejącej, a tak ważnej gałęzi nowoczesnych sił zbrojnych.

RYSZARD KRAIŃSKI

Z życia obozów

"Lejzy balun"

Wydawało by się, że wszystkie są jednakowe: srebrzyste jajo, przywiązane stalową liną do dźwigarki. Nigdy nie widziałem, ażeby powłoka któregoś z nich zdobna była w jakikolwiek rysunek lub godło. Zawsze jest to tylko brudno-srebrny worek, wydęty gazem, mało co widoczny za dnia, a już zupełnie niedostrzegalny w nocy. Jeden podobny do drugiego. Jednakie. Według jednego szablonu zszywane w fabryce. Czyż można więc mówić o jakiejkolwiek różnicy między nimi?—A jednak . . .

Miasto, obok którego leżało nasze lotnisko miało wielokrężną obronę z balonów zaporowych. Jedno kolisko wznosiło się pośrodku miasta, następne, nieregularnie rozrzucone, wybiegały poza przedmieścia. Tuż przy samym lotnisku, z drugiej strony otaczającego je płotu, mieliśmy za sąsiada jeden z tych balonów.

Z obowiązku, znaliśmy "nasze" balony doskonale. Za dnia, spały tuląc się do ziemi, okryte od góry konarami drzew parków, albo też kołdrą maskującej sieci. Rzadko, jakże rzadko!—budziły się z tej drzemki, wystraszone jakimś kolorowym alarmem. Wtedy szybko, rozwijając swe zdradzieckie liny, pięły się na pułap, by po kilku minutach warty w chmurach wrócić znowu na ziemię i zapaść w zwykły sen. Przed wieczorem, po całej setce wstępnych przygotowań, powoli, prawie majestatycznie, wszystkie balony wyruszały na całonocne czaty. Świt budzący dzień do życia, wołał je na całodzienny sen.

Tak, wszyscy znaliśmy dobrze balony! Wprawdzie nikt z nas miał dla nich specjalnego szacunku, ale za to traktowało się je z pewnego rodzaju dobroduszną cierpliwością. "Tyra" taka kicha jak umie, robi co jej każą. Nie jej wina, że ślepa od urodzenia, jednako jest niebezpieczna tak dla wrogów jak i dla swoich!

Z pośród wszystkich balonów specjalnie jednak wyróżniał się "nasz balon," ten bliski sąsiad lotniska. O!—ten to naprawdę był zupełnie inny od wszystkich!

Jeśli za dnia, wezwane alarmem, wszystkie balony leciały na łeb, na szyję, w górę—nasz startował zawsze ostatni. On się nigdy nie śpieszył! Jeśli inne balony przebijały się przez chmury, prężąc swe liny do największej długości, nasz "stopował" pod lada obłokiem, jakby bojąc się, że przechodząc przez wilgotną strefę, nabawi się kataru.

W dzień bezchmurny, kiedy samo słońce ciągnęło balony w górę, "nasz balon" i na to miał sposoby. Startował z oklapniętymi statecznikami, z pomarszczoną, jak gęba starej, szkockiej czarownicy, niewypełnioną dostatecznie gazem powłoką. I jak taki miał dźwigać ciężką, długą, stalową linę? Nic, że promienie słońca rozprężały gaz. - Drań, ledwie wylazł na 1000 stóp zatrzymywał się, kręcił łbem dookoła, udawał, że i owszem bardzo się stara, tylko trochę się zasapał. Aby tylko sekundę odpocznie! . . . Lecz nie!—on nigdy wyżej nie polazł!

To był typowy okaz próżniaka, niedołęgi, i co gorsza sabotażysty. Miał on bowiem całkiem ciekawe narowy! Bywało, wracasz z zadania, w zbiornikach bulgocą ostatnie krople benzyny, tak, że tylko lądować. Pogoda jak marzenie, z daleka widzisz miasto i lotnisko. Nad miastem powietrze czyste. Zato nad lotniskiem, barykadując lądowanie, rozsiadł się "nasz balon"!

I to tylko on jeden! Jedyny spośród wszystkich! Właśnie, równo pięć minut temu, wypuścili go na próbę. Ściągali—zacięła się dźwigarka . . . Jak zły pies, tak ten balon, nieraz naprawdę śpieszącemu się na ziemię samolotowi, bronił wejścia do własnego domu! Trzeba było krążyć zdaleka, czekając, aż "jego wysokość" zechce łaskawie dać przejście.

Ponieważ jak już wspomniałem, stanowisko balonu było tuż przy lotniskowym płocie, nieraz nasi mechanicy, czy też i same załogi, przetykając głowy przez ten "graniczny mur," wzywali "w łagodnych słowach" baloniarzy, by raz wreszcie



zrobili jaki taki porządek z tym, jakżeśmy go nazwali "lejzy balunem." Ostatecznie niech się przeprowadzą! Możliwie daleko!

Baloniarze "bożyli" się w straszny sposób, że to nie ich wina, bo ten (bardzo brzydkie słowo!), chociaż obsłużony jest jak należy, chociaż ma wszystko czego dusza przyzwoitego balonu zapragnie—robi zawsze tylko to co sam zechce! A zawsze chce na złość! Przeprowadzić się? To przecież nie oni decydują o tem. . . .

"Lejzy balun" przysłuchiwał się tym rozmowom najzupełniej obojętnie. Wtulony w wygrzebany w ziemi rów, drzemał, mało dbając o ocenę swych talentów i swej wartości . . .

Raz "lejzy balun" omal naprawdę nie spowodował prawdziwego nieszczęścia. Podchodził do lądowania "Anson"-obcy, nie nasz. Naturalnie wszystkie balony dokoła były ściągnięte! Samolot obleciał lotnisko, odszedł w kierunku miasta, zawrócił. Lądowanie było właśnie od strony "lejzy baluna"—wywalił podwozie, klapy. Idąc na małym gazie maszyna kiwała się lekko w lewo i w prawo . . . Do skraju lotniska nie było więcej jak 500 yardów, żadnych przeszkód po drodze—i "Anson" szedł prawie po ziemi. Nagle, Bóg wie z jakiej przyczyny, "lejzy balun" wyskoczył od ziemi na jakieś 200 stóp w górę! I to zupełnie wpoprzek drogi samolotu!

Jak to było, nie wiem, nie potrafię opowiedzieć. My, którzy patrzyliśmy na to wszystko stojąc przed hangarem, byliśmy przekonani, pewni, że "Anson" musi gruchnąć w "baluna," i że będą jatki. Jakimś cudownym skrętem, dotykając ziemi nieomal skrzydłem samolotu, pilot wyminął przeskodę, odwrócił maszynę z powrotem i usiadł! Podbiegliśmy do "Ansona": całe towarzystwo siedzące w kabinie było lekko blade. Jedynie pilot: ten to był zielony!

Ta historia, rozumie się, nie mogła minąć bez żadnego echa. Miara nieprawości "lejzy baluna" tym razem przepełniła się nad brzegi. Jeszcze "Anson" nie wyłączył silników, a już nasz "*Squadron-leader*" telefonował do dowódcy balonów. W barwnych słowach opowiedział mu ostatni wyczyn naszego zawalidrogi, przypomniał inne, i zażądał jego nieodwołalnej i natychmiastowej eksmisji.

W dwie godziny później zjawił się na lotnisku jakiś oficer wysłany od samych "naczelnych baloniarzy", i po rozlicznych "sorry", zapowiedział, że "balun" za kilka godzin odmaszeruje na nowe bezpieczniejsze dla nas, stanowisko. Jednakże musiał mieć nasz "lejzy balun" jakieś stosunki w sztabie O.P.L., gdyż ledwie ów wysłannik baloniarzy znikł za bramą lotniska, przyszedł fonogram z zawiadomieniem, że ze względów służbowych, "balun" pozostanie na starym stanowisku jeszcze dwa dni! . . .

Dwa dni! Każdy kto usłyszał tę miłą nowinę załamywał z rozpaczy ręce.—"Zobaczycie—pienił się dowódca "flight'u B." —po dwu dniach przyjdzie nowych trzy! potem tydzień! I wreszcie przypomną sobie o nim dopiero wtedy, kiedy ktoś naprawdę palnie w to bydle i zabije się . . ."

Prorocze słowa! Minął tydzień, a "balun" wciąż z jednakową gorliwością, pełnił swą służbę przy lotnisku!

Aż raz—miałem tej nocy służbę i obchodziłem czuwające dokoła lotniska posterunki — zahuczały w mieście syreny alarmowe. Potęgującym się w krzyk wołaniem, jedna drugiej przekazywały wiadomość o niebezpieczeństwie. Byłem właśnie na przeciwległym skraju lotniska /licząc od hangarów/, gdy z wieży "duty pilots" rozpoczął się spazm naszej, lotniskowej, syreny.

Noc była ciemna, bez księżyca, wyiskrzona gwiazdami. Biegnąc, niemal co krok, potykałem się o zastarzałe, wyciśnięte jeszcze w czasie wiosennych roztopów koleiny. W połowie drogi zatrzymałem się. Byłem spocony, zasapany. Łapiąc szeroko rozwartymi ustami zimne powietrze, przez głośne pulsowania krwi w skroniach, usłyszałem ten tak charakterystyczny jęk motorów nieprzyjacielskich samolotów.

Pamiętam to dobrze: w tym właśnie momencie spojrzałem w górę, starając się dojrzeć w ciemności "lejzy baluna." Tak! —wisiał dokładnie nad środkiem lotniska. Jak zwykle tak i teraz nie polazł wysoko! Nie dojrzałbym go przecież!

To tu, to tam, poczęły się odzywać działa naszej obrony. "Wystartowałem" ponownie! Mimo poprzedniego zmęczenia, mój bieg przybrał na szybkości. Arcynieprzyjemnie tkwić na środku pola, na które lada chwila posypie się deszcz odłamków . . .

W mieście było już piekło. Co raz, poprzedzany oślepiającym błyskiem, rozlegał się ponury stęk pękającej bomby. Lotnisko było djablo długie. Zatrzymałem się znowu. Byłem już bez sił!

Czerwone różańce pocisków smugowych przebiegały w różnych kierunkach niebo. Na różnych wysokościach, podobne do gwiazd, zapalały się blade światełka wybuchów. Huk dział przeróżnych kalibrów, mieszając się z krzykiem bomb, tworzył piekielny koncert, którym dyrygował niewidzialny w nocy samolot.

Usłyszałem go, zbliżał się. Nie —nie mógł być wysoko! Szedł prosto na lotnisko! Co tam mówić o bohaterstwie! Padłem! Tak!—wcisnąłem się w wilgotną trawę lotniska, jak mysz. Twarzą do ziemi! Samolot był tuż nademną: słyszałem, dodawał gazu.

Oczekując na znany mi dobrze świst lecącej bomby, jakby chcąc zawczasu wyśledzić jej lot, oderwałem głowę od ziemi i zezem spojrzałem poza siebie, na niebo. Nie było już czarno-granatowe jak przed kilku minutami. Zaróżowiło się i pozłociło światłem łuny, palących się w mieście zbiorników benzyny czy olejów. "Lejzy balun," /jakżebym nie pomyślał o nim!/—znaczył się na niebie rudą, niezbyt widoczną, sylwetką. Gdzieś nad miastem mieszały swe światła w blask łuny reflektory . . .

Znagła w huk dział wmieszał się jazgotliwy wrzask serji z karabinów maszynowych! To strzelał samolot!—Uniosłem się piersiami nad ziemię i rozejrzałem dokoła. Nic nie widać . . . Naraz—gruch!! . . .

Pewny, że to bomba, przylgnąłem szybko do ziemi. W ostatniej sekundzie dostrzegając coś, co jak rozżarzona pochodnia, przebiegło skosem przez niebo. Jeszcze jeden wielki huk. Błysnęło oślepiające, jakby magnezjowe światło! Znowu oderwałem głowę od ziemi: za lotniskiem coś się straszliwie paliło . . .

Bombardowanie trwało jeszcze trzy godziny. W między czasie wyrwałem do swojego "roomu." Byłem przecież służbowym i należało służbę bez względu na zaszłe wypadki, a raczej ze względu na nie, podwójnie gorliwie pełnić!

—Nad ranem dowiedzieliśmy się o skutkach bombardowania, stratach własnych i napastnika. Jedne i drugie były znaczne . . . Wśród ofiar nocnego napadu znajdował się i nasz "lejzy balun." Zginął po bohatersku, na posterunku, w zmaganiu z nieprzyjacielskim samolotem. TO ON! nie żadna tam artyleria, zwalił pierwszego przeciwnika!

W czasie przerwy wśród normalnych dziennych zajęć, wraz z kilku kolegami, poszedłem na stare stanowisko "lejzy baluna," pomówić z jego obsługą. Butle z gazem, sploty lin, oraz stary odcisk na ziemi, znaczyły miejsce po "nieboszczyku." Żołnierze z jego obsługi najzupełniej przypominali "niepocieszoną rodzinę": byli sztywni, poważni, z wyrazem smutku malującym się na twarzach . . . Najstarszy z pośród nich, kapral, opowiedział nam koniec "baluna." Patrzał na wszystko ze swojego schronu.

"Jerry" przelatywał koło "baluna" i ostrzeliwał go z karabinów maszynowych. Był to na pewno tylko przypadek—jednak przestrzelił linę . . . O! tu można zobaczyć!—pokazał nam stalową linę balonową, rozdartą pociskiem. /"Ależ też kaliber tej "sikawki" musiał być wcale, wcale" —dziwił się jeden z pośród nas/. Natychmiast prawie po trafieniu w ten sposób balonu—opowiadał dalej kapral—samolot zwalił się w ziemię pociągając za sobą naszego "baluna." Możliwe, że zaplątał się w drugi koniec liny, tę resztkę co została przy balonie i to . . .

Zapaliliśmy papierosy i poczęliśmy chwalić "nieboszczyka," jego załogę i t.p. /jak zwykle na pogrzebie!/. Kapral, który początkowo patrzał na nas trochę kosym okiem, teraz rozchmurzył się i—nawet ani słowem nie wspominał o naszych dawnych swarach i wyrzekaniach na "lejzy baluna." Takie pogrzebowe grzeczności . . .

Chcieliśmy jeszcze obejrzeć szczątki rozbitego samolotu. Pożegnaliśmy się więc z kapralem i jego ludźmi, życząc im dalszego powodzenia i jeszcze raz chwaląc ich piękny wyczyn. Odchodziliśmy już, gdy ktoś potknąwszy się o jakiś potężnie gruby i długi rulon płachty zapytał:

—Co to? Czy to resztki naszego "baluna"?

—No Sir!—z zadowolonym uśmiechem odpowiedział kapral. —To nie stary balon, to nowy! Właśnie przed chwilą przysłano go nam na miejsce tamtego. Szykujemy go . . .

—Hej!—mój kolega pytał dalej pełnym niepokoju głosem, wskazując jednocześnie palcem lotnisko—to on tu będzie wisiał?

—Yes Sir!—I spodziewamy się, że godnie zastąpi swego poprzednika . . .

TADEUSZ KOŁODZIEJSKI

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 11—20.III.1942

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 3	Ilość wypraw: 4	Łączna ilość samolotów: 43
Polskie dywizjony myśliwskie brały udział w osłonie wypraw bombowych.	Główne cele: Dunkierka, Emden, Kilonia, Kolonia.	

Razem od czasu przybycia do Anglii do 20.III.1942.

zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 424	Łączna ilość samolotów: 1998

Nowości lotnicze

Ostatnie wypadki na Dalekim Wschodzie wywołały prawdziwą burzę w brytyjskiej opinii publicznej. Gromy skierowane zostały w równej mierze na dowództwo wojsk lądowych, jak i na kierownictwo R.A.F. Zarzuca się ogólnie, że R.A.F. nie tylko jest niedostatecznie przygotowany, lecz także nie rozwinął, ani nie starał się rozwinąć broni lotniczej, którą tak skutecznie walczy nieprzyjaciel: lotnictwa nurkowego.

Prasa fachowa oparta o *Air Ministry* nie zabiera w tej dyskusji głosu. Dyskusja toczy się całkowicie na łamach prasy codziennej. To oficjalne milczenie ma swe podstawy. Otóż oficjalna opinia wypowiedziała się już dość dawno przeciw nurkowcom i zdania swego ani nie cofa, ani cofać nie zamierza. Ostateczne orzeczenie brzmi mniej więcej w następujący sposób:

" Potrzebujemy w tej chwili jak najwięcej myśliwców i bombowców, dopiero gdy liczba tych dwóch rodzajów lotnictwa będzie dostateczna i zagwarantuje przewagę R.A.F. na wszystkich frontach, wtedy dopiero będzie można zacząć bawić się produkcją nurkowców, sprzętu bardzo specjalnego, może pożytecznego, lecz conajmniej w równej mierze niepewnego, niedającego rękojmi wypełnienia swych zadań bojowych."

"*Sunday Times*" z 1 marca powraca znowu do sprawy nurkowców. Peter Masefield w artykułe pod tytułem: "*Case against the dive-bomber*" w zasadzie popiera stanowisko *Air Ministry*, podkreślając przedewszystkim małą wydajność tej broni. Zajmuje stanowisko zupełnie podobne do naszego stanowiska z przed kilku tygodni. Twierdzi, że jedynym zdrowym rozwiązaniem sprawy interwencji lotnictwa na polu bitwy—to samolot z dobrą armatą. Równocześnie jednak stawia tezę, że najlepszą pomocą dla sił walczących na ziemi, byłoby masowe użycie lekkich samolotów /motory 75-100 H.P./, któreby lekkimi-bombami i karabinami maszynowymi wspierały akcję piechoty.

Rzecz—tak przynajmniej nam się wydaje—polega na poważnym nieporozumieniu. Z rozważań Masefield'a wynika bowiem, że autor miesza rozmaite rodzaje lotnictwa o zdecydowanie odmiennych zadaniach. Miesza lotnictwo łącznikowe z lotnictwem współpracy, wreszcie z lotnictwem szturmowym. Każdy z tych trzech rodzajów lotnictwa, wymaga odmiennego samolotu, każdy z tych rodzajów lotnictwa służy innym celom, mało ze sobą mających wspólnego.

Samolot łącznikowy musi lądować na każdym lądowisku, właściwie na każdym kawałku pola, ma szukać łączności tam, gdzie nie sięga radio i nie sięga żaden ze środków porozumienia się, ma w razie akcji na szerokich przestrzeniach umożliwić kontakty dowódców i oficerów sztabu między sobą i z oddziałami. Taki samolot nie może, a nawet nie wolno mu—zbliżać się do linii bojowej. Nieuzbrojony dostatecznie staje się łatwym, po prostu niehonorowym łupem dla myśliwca, czy nawet pierwszego lepszego samolotu, nieco ciężej niż on sam uzbrojonego. Cóż bowiem znacza dziś jeden, czy nawet dwa karabiny maszynowe wobec 6-ciu czy 12-stu.

Samolot współpracy ma zadanie przeprowadzania krótkich wywiadów na korzyść, czy to artylerii. czy oddziałów. Pracując na niskim, albo na tym najniebezpieczniejszym, średnim pułapie wypada płytko za linie nieprzyjacielskie, jednym wskazując cele, drugich chroniąc przed niespodziankami. Praca jego jest niewdzięczna i bardzo niebezpieczna. Nie może być zbyt szybki, nie jest szczególnie silnie uzbrojony, pracować może jedynie pod silną ochroną myśliwców, podobnie zresztą, jak lotnictwo szturmowe.

Samolot szturmowy, który walczy z ziemią: z piechotą, z artylerią, z czołgami, musi być silnie uzbrojony—by jego interwencja przyniosła skutek, musi być opancerzony—jest bowiem narażony na przeciwdziałanie z ziemi. Nurkowiec jest tylko odmianą samolotu szturmowego i nie posiada jego zalet. Anglicy, podobnie jak i Rosjanie chcą mieć całość a nie cząstkę: lotnictwo szturmowe o potężnym działaniu, a nie nurkowiec, który tylko rzuca bomby i nic więcej.

Nurkowce są rzeczywiście niewydajne i nieekonomiczne. Podkreślaliśmy kiedyś w naszych rozważaniach na ten temat, że efekt nurkowca to w 80% efekt moralny. Gwizd pikujących samolotów, widok odrywających się bomb, huk pękających pocisków robi zawsze przygnębiające wrażenie na mniej odpornych, a przede wszystkim mniej doświadczonych w boju obrońcach. Bomby wyrzucane z nurkowca są przeważnie małego kalibru i ich podmuch nie wiele czyni szkody. Celność tych bomb, przy słabym tylko przeciwdziałaniu ziemi, jest niewielka. Poza tym nurkowce muszą występować masowo i znów—pod ochroną własnego myśliwstwa. Nurkowiec jest bronią posiadającego przewagę w powietrzu. Gdy do nurkowców dobiorą się nieprzyjacielskie myśliwce—nurkowce lecą z nieba jak gruszki.

Idąc tedy śladem rozważań własnych, czy rozważań Peter Masefield'a musimy trwać przy koncepcji samolotu szturmowego, lecz nie nurkowca. Przy odpowiednim uzbrojeniu staje się on straszną bronią przeciwko czołgowi, lecz nato musi być czymś w rodzaju latającego działa. Musi to być ciężkie działo, działo przebijające każdy pancerz czołga, działo szybkostrzelne.

Trudność polega na rozwiązaniu sprawy, jakie to wysokokalibrowe działo da się umieścić na współczesnej maszynie. Możliwości techniczne są ograniczone. Tylko bardzo lekkomyślni laicy wierzą w nagłe a zbawcze rewolucje w budowie samolotów. Obecnie wiedza aeronautyczna sięgnęła tak daleko, że można mówić jedynie o stopniowym rozwoju poszczególnych elementów budowy samolotu. Elementy są dobrze znane, nawet drogi, którymi może pójść rozwój. Sam fakt, że potrzeba ciężkiego działa na samolocie jest bodźcem do badań, lecz bynajmniej nie jest rozwiązaniem. W paryskim Departamencie Patentów przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych leży do dziś dnia patent współczesnego samolotu, łącznie z automatycznym pilotem, datowany z września 1873 roku. Jednak między złożeniem tego patentu a pierwszym lotem Adera upłynęło przeszło 25 lat. Przeszkodą była drobna sprawa: sprawa motoru, sprawa napędu . . .

Nasuwa się tedy pytanie: skoro nie możemy zbudować samolotu, któryby odpowiadał naszym żądaniom, dlaczego nie spróbować przystosować działa do samolotu już istniejącego. Mechanizm współczesnej 75-tki jest ciężki. Spora część ciężaru przypada nie tyle na lufę, ile na oporopowrotnik. Wiadomo bowiem, że działo po strzale ulega odrzutowi. Odrzut w nowoczesnym dziale jest nie tyle unicestwiony ile unieszkodliwiony przez mechanizm, który pozwala po strzale cofnąć się nie działu, ale lufie działa oraz powraca lufę do pierwotnego położenia. Na samolocie oporopowrotnik zajmował by zbyt wiele miejsca i obciążałby niepotrzebnie. Działo bez oporopowrotnika narażałoby znowu samolot na takie wstrząsy, że jego konstrukcja nie mogłaby wytrzymać, nie mówiąc już o skutkach takiego wstrząsu dla samego lotu.

Rok 1918-ty przyniósł Aliantom pewien wynalazek, o którym z biegiem spokojnych a sielskich nad miarę lat—zapomniano. Był jednak użyty w tym czasie praktycznie na lekkich łodziach torpedowych, ówczesnych ścigaczach. Jest to działo bez ciężkiego oporopowrotnika. Opiera się na systemie dwóch luf: jedną wylatuje pocisk, drugą, skierowaną wylotem w stronę przeciwną—usuwane są gazy powodujące szkodliwy odrzut. Mechanizm jest nieskomplikowany, a działo stosunkowo lekkie.

Tu zdaje się leży rozwiązanie zagadnienia. Strzał z samolotu, pikującego na cel, gwarantuje znacznie większą celność, niż wyrzucenie bomby. Bomba nie przebije pancerza, gdy pocisk—przebija, tym bardziej pocisk o dużym kalibrze. Nie mówimy już o dużej szybkości początkowej. Trzeba przecież brać też pod uwagę, że ogółem współczesne czołgi są opancerzone głównie przeciw strzałom z flanki, lub od przodu. Pancerz górny jest stosunkowo słabszy. Wprawdzie Niemcy po doświadczeniach ostatnich kampanii wzmocnili górę pancerza, lecz jeszcze niedostatecznie.

Naturalnie pocisk mający przebijać opancerzenie musi być inaczej skonstruowany niż zwykły, mający tylko działać rozrzutem odłamków. Przede wszystkim musi mieć dużą szybkość początkową. Jednak szybkość początkowa—to nie kaliber i nie ilość materiału wybuchowego, lecz w znaczniejszej mierze—kształt lufy. Nowoczesne działo przeciwpancerne przekrojem mało przypomina swe siostrzyce z 1918. Ale mniejsza o to . . .

Z chwilą sprowadzenia działa i jego mechanizmu do jego pierwotnej formy z przed stuleci—do lufy i zamku, z chwilą kiedy to działo można wmontować na stałe w kadłubie samolotu, trudności w powiększeniu kalibrarzu dział samolotowych i ich skuteczności są usunięte. Niewątpliwie działanie tego rodzaju samolotów będzie nieskończenie bardziej wydajne, niż nurkowców. Dlatego—spodziewać się należy—najbliższa przyszłość przyniesie nam samoloty szturmowe, lecz nie—nurkowce. Nurkowce będą w dalszym ciągu oddawały cenne usługi w swym pierwotnym elemencie—z pokła[d]u lotniskowca.

ADAM STERBAŁŁA

Pomoc dla Polaków w Rosji: £800

P. T. " Polska Walcząca."

przesyłam przekazem pocztowym kwotę £30—(trzydzieści) jako zebraną przez 1 Komp. Ppanc. na różnych imprezach na cel pomocy Polakom w Rosji.

D-ca 1 Komp. Ppanc. kpt. Jan W.

* * *

Przy niniejszym załączam £9. 9. 6. (słownie £. dziewięć, szylingów dziewięć i pensów sześć) w przekazach pocztowych, zebrane wśród żołnierzy Polskiej Eskadry Balonowej z prośbą o przekazanie powyższej sumy do Polskiego Czerwonego Krzyża na rzecz Pomocy Polakom w Rosji.

Dowódca Eskadry W.Z. kpt. obs. bal.

* * *

Redakcja " Polski Walczącej "

Przesyłam sumę £5 (pięć) sh.18 (ośmnaście) na rzecz Polaków w Rosji. Suma ta została zebrana przez żołnierzy 2 Szwadronu 1 Dywizjonu Rozpoznawczego Korpusu z racji imienin ich Dowódcy rtm. Józefa L.

ppor. Tadeusz B.

* * *

Szanowy Panie Redaktorze,

Zamiast kwiatów na grób ś.p. Marszałka Polski Józefa Pilsudskiego złożyli £5—na pomoc Polakom w Rosji

Żołnierze

* * *

Szanowna Redakcjo,

zawiadamiam, iż w 1 Kompanii Saperów I Brygady Strz. dokonano drugiej zbiórki na pomoc Polakom w Rosji, która dała następujące wyniki:

w naturze: przedmioty wartości £15—a w gotówce samorzutnie złożyli kpr. K.—5sh.
st. sap. B. 2sh
sap. S. 2sh 6d

Przedmioty zostały wysłane pod adresem Polskiego Czerwonego Krzyża, zaś gotówkę w wysokości 9sh. 6d. przesyłam jednocześnie pod adresem redakcji "Polski Walczącej" z prośbą o przekazanie z innymi sumami na Fundusz Pomocy Polakom w Rosji.

za oficera oświat. komp. Jan Olgierd B. pdch.

* * *

Niniejszym z okazji imienin, przesyłam £2 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Z poważaniem
ppor. J.N. (R.A.F.)

* * *

W załączeniu przesyłamy czek na sumę 10 £ na rzecz pomocy Polakom w Rosji.

Kantyna Polska w Perth

* * *

Naszej kochanej koleżance Mirze Grelichowskiej życzymy serdecznie w dniu imienin wszystkiego najlepszego a zamiast upominku składamy 30sh. na pomoc dla Polaków w Rosji.

Koleżanka i koledzy z " Lwowskiej Fali "

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

wobec nieprzyjęcia pieniędzy za odprawienie Mszy Świętej za dusze śp. rodziców moich przez ks. kapelana R. Gogolińskiego przesyłam £2—na pomoc Polakom w Rosji.

Z poważaniem.
M.L.

* * *

Batalion Podhalański I Brygady Strzelców przesyła przekaz pieniężny na sumę £9, z prośbą o przekazanie do P.C.K. na rzecz Pomocy Polakom w Rosji.

Kwotę powyższą uzyskano z dobrowolnej zbiórki pieniężnej, zorganizowanej wśród żołnierzy w czasie koncertu, urządzonego dla naszego oddziału przez Zespół Artystyczno-muzyczny R.A.F.

Czołem,
Oficer Oświatowy Baonu W.D.

* * *

Dear Sirs,

Enclosed please find cheque for £2 12 sh. towards Red Cross Fund.

Included in this donation is 10 sh. from Miss Ness, 12, Kelso Place, for English lessons given to a Polish officer.

Yours faithfully,
D. D. Mac Arthur

* * *

Nadto otrzymaliśmy na ten cel od p. Krystyny Nowiakówny, jako wyraz solidarności z decyzją dobrowolnego, stałego, progresywnego opodatkowania powziętą przez Pracowników Biura Prop. i Ośw.£1—na Fundusz Pomocy Polakom w Rosji, £1—na Fundusz Pomocy Jeńcom; oraz od p. T.K. £1—z myślą o Matce w Kraju.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £80 19 sh.—/słownie osiemdziesiąt funtów, dziewiętnaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną d[o] tychczas za pośr[ed]nictwem "Polski Walczącej" do £800 15sh. 1d. /słownie: osiemset funtów, piętnaście szylingów, jeden pens/.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the " Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.